



A III

TANIA BIBLIOTEKA

No 19

ARTUR SCHNITZLER

GDY SIĘ DUCH ZAMROCZY

NOWELE

Wydawnictwo im. J. I. Kraszewskiego
tłumaczył **J. A. B. J.**

Włodzimierz Trampezyński

Księgarnia

1036



WARSZAWA

Wydawnictwo Spółki Wydawniczej

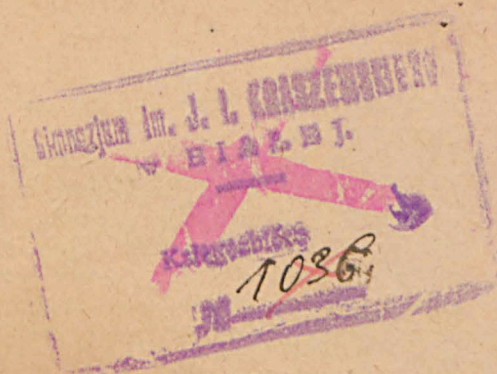
JAN ROWIŃSKI I ADAM SOBIESZCZAŃSKI

Hoża 16

~~Ar. mu. 1131~~



Druk Drukarni Polskiej, Warszawa, Jasna 2.
(L. Straszewicza).
1907.



Nowa piosenka.

— Nie moja w tem wina, panie Breiteneder...
nie moja wina... bardzo proszę... tego nikt nie może
powiedzieć!

Karol Breiteneder słuchał tych słów, jak słu-
cha człowiek, do którego przemawia ktoś ze zna-
cznego oddalenia. A przecież osoba mówiąca znaj-
dowała się tuż przy nim i trzymając się jego boku,
dreptała obok. Pan Breiteneder czuł nawet zapach
wina, wydobywający się wraz ze słowami z ust
mówiącego. Ale nic nie odpowiadał na to. W tej
chwili nie czuł siły do zapuszczania się w długie
wyjaśnienia; za nadto był zmęczony i wstrząśnięty
straszną przygodą, która go spotkała tej nocy.
Jednego tylko pragnął: chciał być sam i oddychać
świeżem powietrzem. Dlatego też nie poszedł do
domu i daleko miłszy mu był wietrzyk poranny,
oraz pusta zupełnie ulica, którą dążył ku pagór-
kom leśnym, wylaniającym się po przez chmury
majowe.

Od czasu do czasu jednak dreszcz przebiegał
jego ciało od stóp do głów i wtedy nie czuł wcale
ożywczej świeżości poranka, która w każdym in-
nym razie po nocach nieprzespanych zwykła go
była orzeźwiać i krzepić. Ciągłe przed oczami miał

straszliwy obraz tego, co się stało i przed czym teraz uciekał.

Człowiek, idący przy nim, widocznie dopiero przed chwilą dogonił Breitenедера. Czego on chciał od niego?... Czemu się bronił?... I dlaczego właśnie przed nim się bronił?... Przecież chyba Breiteneder nie myślał o tem, ażeby staremu Rebayowi czynić wyrzuty głośne, chociaż doskonale wiedział, że ten stary głównie zawinił, wobec tego, co się stało.

Teraz przyglądał mu się z boku. Jakże ten człowiek wyglądał! Surdut czarny był pognieciony i poplamiony, jeden guzik urwany, inne zaś wisały na naderwanych kawałkach sukna; w dziurce od guzika tkwiła gałązka obumarłego kwiatu. Karol ten kwiat widział jeszcze wczoraj wieczorem świeżym i woniejącym. Udekorowany tym samym tulipanem w butonierce, siedział kapelmistrz Rebay przy rozstrojonym pianinie i akompanjował do wszystkich produkcji trupy Ladenbauera, jak to zwykł był czynić od lat blisko 30-tu.

Mała restauracja zapelniła się gośćmi i aż na ogród wynosić musiano stoły i krzeselka, afisz bowiem zielony, wielkimi, czarnymi i czerwonymi zadrukowany literami, zapowiadał: *„Pierwszy występ po powrocie do zdrowia z ciężkiej choroby panny Marji Ladenbauer, zwanej „Białym kosem”.*

Karol odetchnął głęboko. Robiło się coraz jaśniej i obaj nie byli już teraz jedyne osoby, kręcącymi się po ulicy. Poza nimi, jak również z różnych ulic bocznych, ba! nawet z lasu wysuwali się rozmaici przechodnie. Na ten widok przypomniał sobie dopiero Karol, że to jest niedziela.

Rad był, że nie ma żadnej potrzeby powracać do miasta, chociaż ojciec jego zapewne chociażby, jak to czynił nieraz, ażeby odrobił w niedzielę opuszczony dzień powszedni. Stary zakład tokar-

ski przy ulicy Alzera prosperował dobrze nawet bez niego, stary ojciec zaś wiedział z doświadczenia, że rodzina Breitenederów dotąd prowadziła zawsze żywot solidny. Cała historia z Marją Ladenbauer oczywiście niepodobała mu się bardzo.

— Możesz robić, co ci się podoba—rzekł raz łagodnie do Karola. — Przecież i ja kiedyś byłem młody! ale chociaż żyłem z różnemi dziewczynami, to jednak nie bywałem u ich rodziny. Zbyt dobre miałem o sobie wyobrażenie.

Karol pomyślał sobie teraz: „Gdybym był słuchał ojca, to nie jednej oszczędziłbym sobie przykrości”. Ale on Marję bardzo lubił. Było to stworzonko wesołe, dobroduszne i przywiązane do niego. Nie wiele z sobą mówili, a kiedy pod rękę szli na spacer, to Marynia tak skromnie wyglądała, że nikt nie mógłby pomyśleć, iż niejedno przeszła już w życiu. Zresztą cały sposób prowadzenia domu jej rodziców nie różnił się w niczem od zwykłych gospodarstw mieszczańskich.

Mieszkanie utrzymane było czysto i gustownie, na etażerce stały książki. Często przychodził w odwiedziny brat starego Ladenbauera, mający posadę urzędnika w magistracie i wówczas rozmawiano o rzeczach bardzo poważnych, o polityce, o wyborach, o gospodarce gminnej.

W niedzielę Karol nieraz grywał w taroka ze starym Ladenbaurem i z tym narwanym Jedekiem, który to wieczorami w kostjumie clowna wygrywał różne walce i marsze na szklankach i talerzach.

Każdą wygraną w taroka wypłacano sumieniem, czego nie robiono zawsze w kawiarni, w której również grywał. We wnętrzu pod oknem, gdzie wisały obrazki szklane z krajobrazami szwajcarskimi, siadywała wydłużona postać bladej pani

Jedekowej, podczas przedstawienia wieczornego deklamującej wiersze nudne i rozwlekłe.

Jedekowa gawędziła z Marynią, przytakując prawie ustawicznie, ale Marynia wzrokiem biegła do Karola i przesyłała mu żartobliwie ręką pozdrowienia. Czasami znów siadywała przy nim i patrzyła w jego karty.

Brat Marji zatrudniony był w wielkim magazynie, a odznaczał się taką przyzwoitością, że ile razy Karol poczęstował go cygarem, tyle razy on mu się za to odwdzięczał również cygarem. Siostrę swoją kochał bardzo, uwielbiał nawet, i nie raz od najgłośniejszego w mieście piekarza, wyrobionego także ciastka, przynosił jej coś do chrupania. Gdy żegnał się z towarzystwem, zwykł był mówić, przymrużając oczy: „Niestety! muszę odejść, przyrzekłem bowiem gdzieindziej jeszcze swoją wizytę”...

Oczywiście najmilej było Karolowi wtedy, gdy się znajdował z Marją sam na sam. I w tej chwili nawet przypomniał sobie pewien poranek, gdy tak samo jak teraz i tą samą drogą odbywał przechadzkę z nią ku szumiącemu lekko laskowi, rozrzucenemu po wzgórzach.

Oboje byli wtedy zmęczeni, wyszli bowiem prosto z kawiarni, gdzie aż do świtu przesiedzieli w całym towarzystwie śpiewaków; ułożyli się przeto pod rozłożystym klonem na spadzistości ku łące i zasnęli. Dopiero w południe owego dnia upalnego obudzili się i wesolo gwarząc, śmiejąc się i żartując, udali się głębiej w las, a przepędziwszy w ten sposób dzień cały, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, późnym wieczorem wrócili do miasta na przedstawienie...

Pięknych wspomnień tego rodzaju było wiele. O przyszłości nie myśleli wcale i żyli obok siebie bardzo zadowoleni z życia.

Na początku zimy zachorowała Marja nagle, a doktor zakazał wszelkich odwiedzin chorej. Było to zapalenie mózgu, czy też coś podobnego, wszelkie zaś wzruszenie musi być w takich razach omijane. Karol chodził codziennie do Ladenbauerów dowiadywać się o zdrowie, później, gdy choroba się przedłużała, udawał się już tylko co drugi lub co trzeci dzień.

Pewnego dnia rzekła pani Ladenbauerowa, otwierając mu drzwi:

— No! dziś wolno już panu wejść, proszę jednak, ażeby się pan nie zdradził.

— Co to znaczy „nie zdradził”? Cóż się stało?—zapytał Karol.

— Ha! Z oczami niestety! jest źle i żadna pomoc tu już nic nie poradzi.

— Dlaczego?

— Prawie nic nie widzi... To jedno pozostało jej po chorobie. Ale ona nie wie jeszcze, że stan jej oczu jest nieuleczalny, niech się pan przeto bardzo ma na baczności, ażeby tego nie spostrzegła.

Karol zdołał zaledwie wybąknąć kilka słów i nie poszedł do pokoju chorej. Nagle strach go ogarnął na myśl, że oglądać będzie swoją Marję. Zdawało mu się, że nic tak bardzo nie przyciągało go do niej, jak właśnie te jej oczy, takie jasne zawsze, te oczy, którymi ona śmiech swój wyrażała najlepiej.

Chciał przyjść nazajutrz, ale nie przyszedł nawet w trzecim dniu, odwiedziny odkładał ciągle. Dopiero wtedy pragnął ją ujrzeć znów, gdy już ona pogodzi się ze swoim losem. Później tak wypadło, że musiał wyjechać za interesami ojca. Podróż to była długa, zatrzymywał się w Berlinie, Dreźnie, Kolonji, Lipsku, Pradze. Raz napisał kartę pocztową do starej pani Ladenbauerowej, gdzie oznajmiał, że natychmiast po swoim powrocie przy-

dzie w odwiedziny; równocześnie pięknie pozdrowił Marję.

Z wiosną powrócił—ale do Ladenbauerów nie poszedł; nie mógł się na to zdecydować... Rzecz naturalna, że z dnia na dzień coraz mniej myślał o niej, a nawet postanowił zapomnieć. Przecież ani on był pierwszy w jej sercu, ani będzie ostatni. Nie słysząc nic o niej, uspokajał się coraz więcej i, chociaż nie miał ku temu żadnych podstaw, wyobraził sobie, że Marja chyba znajdować się musi u krewnych na wsi, o których wspominała mu nieraz.

Wczoraj wieczorem wypadek (chciał pójść do znajomych, mieszkających w pobliżu) sprowadził go przed dom, w którym zwykle odbywały się przedstawienia trupy Ladenbauera. Zatopiony w myślach chciał już przejść mimo, gdy wzrok jego padł na afisz żółty i wtedy dopiero zrozumiał gdzie się znajduje. Poczul ukłucie w sercu, zanim jeszcze zdołał choćby jeden wyraz na afiszu przeczytać. Ale gdy zobaczył czarne i czerwone litery i odcyfrował: „*Pierwszy występ Marji Ladenbauerówny po jej wyzdrowieniu*“, wtedy stanął jak gdyby atakiem paraliżu tknięty. A właśnie w tej chwili, jak gdyby z ziemi wyrosły, stanął przed nim Rebay z siwą odkrytą głową, ze zmiętym cylindrem w ręku i świeżym kwiatkiem u surduta. Rebay pozdrowił Karola:

— Nie! Coś podobnego... ależ to pan Breiteneder! Przecież nas pan chyba dzisiaj zaszczyca swoją obecnością. Panna Marja nie będzie się posiadała z radości, gdy posłyszysz, że dawni jej przyjaciele chcą ją oglądać. Biedne stworzenie! Wycierpieliśmy z nią wiele, ale obecnie pogodziła się z losem.

Mówił jeszcze wiele innych różnych rzeczy, a Karol słuchał, nie ruszał się z miejsca, chociaż najchętniej wolałby się znajdować jak najdalej od

tego miejsca. Nagle obudziła się w nim pewna nadzieja i zapytał, czy rzeczywiście Marja nic nie widzi, czy też pozostała jej choćby odrobina wzroku?

— Odrobina? — odpowiedział Rebay — co też pan mówi! Nic, zupełnie nic nie widzi!

Mówił to z dziwną jakąś wesołością i dodał:

— Przed jej oczyma wszystko jest czarne jak węgiel, że jednak każda rzecz ma swoją dobrą stronę, jeżeli tak wolno powiedzieć, więc i teraz dziewczyna ma głos bez porównania piękniejszy niż kiedyś... zresztą sam to pan zobaczy. A przytem dobra, nadzwyczajnie dobra, jeszcze uprzejmiejsza, niż była dawniej. Toć ją pan zna przecież. Dziś więcej przyjdzie takich, którzy ją znają, chociaż ci inni nie byli nigdy dla niej tacy dobrzy, jak pan. Teraz, naturalnie skończyło się wszystko z temi pewnemi historyjkami, ale to jeszcze przyjdzie, to przyjdzie. Znałem kobietę niewidomą, która miała bliźnięta... ha, ha... A teraz niechaj pan tutaj spojrzy—dokończył nagle i Karol, obróciwszy się, spostrzegł, że stoi przed kasą, przy której siedziała pani Ladenbauerowa.

Pani dyrektorowa była zadęszana, blada i spojrziała na Karola, nie wyrzekłszy ani słowa. Wzięła mu bilet, więc zapłacił, sam nie zdając sobie z tego sprawy, co się z nim dzieje. Nagle wykrzyknął również bezwiednie:

— Tylko pannie Marji niech pani nic nie mówi! Na miłość boską proszę jej nie objaśniać, że jestem na sali!... Panie Rebay! nic nie mówić, nic, nic.

— Dobrze już, dobrze—odpowiedziała Ladenbauerowa i zajęła się innymi osobami, które przyszły po bilety.

— Odemnie ani słówka się nie dowie—rzekł Rebay—ale później, to dopiero będzie niespodzianka! Przecież pan pójdzie z nami... wielka uro-

czystość... ho ho!... a tymczasem moje uszanowanie panu.

I Rebay zniknął. Karol przeszedł przez zapelnioną salę i w ogrodzie usiadł przy stoliku, ustawionym w zupełnym kącie, gdzie już przedtem siedział jakiś mężczyzna z kobietą. Państwo ci nie mówili nic do siebie, w milczeniu oglądali sąsiada i smutnie kiwali głowami.

Karol siedział i czekał. Rozpoczęło się przedstawienie i znów stare, dawno znane rzeczy obily się o jego uszy. Pomimo to wydawało mu się, że jednak coś się tutaj zmieniło; nigdy tak daleko nie był od sceny. Najpierw pan kapelmistrz Rebay odegrał t. zw. „uwerturę“ z której do uszu Karola dochodziły tylko niektóre twarde akordy. Potem, jako pierwszy numer, ukazała się węgierka, Ilka, w jasno czerwonej sukni, w bucikach z ostrogami; śpiewała piosenki węgierskie i tańczyła czardasza. Następnie ukazał się komik Wiegel-Wagel i wypowiedział odczyt humorystyczny. Komik ten pojawił się w zielonym fraku i na wstępie oznajmił, że przybywa wprost z Afryki. Najglupsze w świecie przygody tworzyły treść tego odczytu, zakończonogo opowieścią o małżeństwie deklamatora ze starą wdową murzyńską. Trzeci numer stanowił duet pana i pani Ladenbauerów; wystąpili oni w kostiumach tyrolskich, a gdy skończyli, w brudnem, białem ubraniu błazna ukazał się mały Jedek, pokazujący najpierw sztuki żonglerskie, a następnie wyłupiastemi oczyma wodził po publiczności, jak gdyby szukał kogoś. Ustawwszy przed sobą talerze w kilku rzędach, zaczął laską wygrywać hałaśliwego marsza, potem uporządkował sobie kieliszki i mokremi palcami wydzwaniał rozmazające tony walca. Przy tej produkcji patrzył w sufit i uśmiechał się błogo. Jedek skończył, a wtedy znów ukazał się Rebay i ogromnemi łapami wygrywał coś wielce uroczystego.

Salę przebiegl teraz szmer szeptów, ludzie podnieśli głowy do góry i—nagle na estradzie ukazała się Marja, „Biały kos“. Wprowadził ją ojciec ale on zniknął, jak nurek i Marja została sama, Karol widział ją stojącą tam na górze z zagasłemi oczyma w bladym, słodkim obliczu; widział dokładnie, że najpierw poruszyła ustami i uśmiechnęła się lekko.

Sam nie wiedząc, co robi, zerwał się z krzesła i oparł o drzewo, na którym wisiała zielona latornia. O mało nie krzyknął ze strachu i litości.

Marja zaczęła śpiewać, ale głos to był inny, obcy, śpiewała ciszej, daleko ciszej niż dawniej. Piosenkę tę słyszał Karol co najmniej pięćdziesiąt razy, a jednak teraz ten głos brzmiał mu dziwnie, obco i dopiero gdy śpiewaczka doszła do *refrain*: „Czy w domu, czy w mieście zwał mnie „białym kosem“, dopiero wtedy zdawało się Karolowi, że rozpoznaje dźwięk tego głosu. Odśpiewała wszystkie trzy strofki, a Rebay, który jej towarzyszył na fortepianie, zwyczajem swoim często spoglądał ostrym wzrokiem ku niej. Kiedy skończyła, w całym ogrodzie rozległy się oklaski, głośnie, huczne. Marja uśmiechała się i kłaniała. Matka podeszła teraz do niej po trzech schodkach, oddzielających podłogę od estrady, a Marja zaczęła w powietrzu robić ruchy rękami, jak gdyby szukała oparcia na rękach matczynych. Ale oklaski były takie silne, że musiała odrazu rozpocząć drugą piosenkę, którą Karol równie słyszał z pięćdziesiąt razy. Piosenka rozpoczynała się od słów: „Dziś z ukochanym wybiegnę na pole,...“ a Marja z takim zadowoleniem uniosła głowę w górę, jak gdyby rzeczywiście pod rękę z ukochanym szła po łące zielonej i patrzyła w niebo błękitne i gotowa była zatańczyć na świeżem powietrzu. A potem zaśpiewała tę trzecią, tę nową piosenkę.

.

— Tutaj obok jest mały ogródek — rzekł Rebay, a na ten głos Karol wstrząsnął się cały.

Słońce świeciło jasno; ulica tonęła w blaskach słonecznych, wokoło było jasno i panowało ożywienie. A Rebay ciągnął dalej:

— Tu jest ogródek i moglibyśmy wejść na szklankę wina.

Uczuwam ogromne pragnienie... będziemy dzisiaj mieli upał:

— I to jeszcze jaki upał mieć dzisiaj będziemy! — odezwał się w tej chwili ktoś po za nimi.

Breiteneder się obejrzał... I ten jeszcze pobiegł za nim?... Czegoż on chce?..

Był to narwany Jedek. Nigdy go inaczej nie nazywano. I rzeczą było pewną, że ten człowiek w najbliższym już czasie musi wpaść w obląkanie. Przed kilku dniami groził swojej żonie bladej, długiej kobiecie śmiercią i dla wszystkich tworzyło zagadkę, dlaczego go pozostawiono na wolności?

W tej chwili Jedek, karłowato niski, kroczył tuż obok Karola. Twarz jego była żółtawa, a z tej twarzy na świat spoglądało dwoje wesółych oczu. Na głowie miał popielaty, miękki kapelusik z piórkami rozstrzępionym, znany dobrze całemu miastu, w rękę trzymał cieniutką laseczkę. Jedek wysunął się naprzód i w podskokach przed innymi wpadł do małego ogródka, usiadł na ławce drewnianej, przylegającej do niskiego domku i silnie uderzać zaczął laseczką w stół, nawołując kelnera. Dwaj jego towarzysze poszli za nim. Wzdłuż parkanu zielonego ciągnęła się dalej ku górze biała ulica i ginęła w lesie, pozostawiając za sobą małe, smutnie wyglądające wille.

Kelner przyniósł wina. Rebay cylinder swój położył na stole, ręką przejechał po siwej czuprynie i zwyczajem swoim potarł wargi. Następnie

odsunął szklankę Jedeka i przechylając się przez stół, mówił do Karola:

— Nie jestem w ciemnię bity, panie Breiteneder i wiem co robię. Dla czego więc ja miałbym właśnie być winien?... Czy pan wie, dla kogo w młodszych latach pisywałem kuplety?... Dla Matrasa, panie! To nie bagatela! I te kuplety robiły wrażenie! Tekst i muzyka były moje, a niektóre z nich służą dzisiaj jako „wkładki” w innych sztukach.

— Niechaj pan nie rusza mojej szklanki — rzekł Jedek i śmiał się sam do siebie.

— Jestem przecież panu znany — nie stropiony tem mówił znów Rebay — jako człowiek przyzwoity, a w kupletach moich niema nigdy żadnej pikantności. Ten zaś kuplet, za który stary Ladenbauer został kiedyś skazany, nie był mojego pióra; napisał go ktoś inny. Mam dzisiaj lat 68, a to ładna cyfra! A czy pan wie, jak dawno już pracuję w trupie Edwarda Ladenbauera, który był towarzystwa naszego założycielem? Wtedy żył jeszcze stary Edward, Marję zaś znam od urodzenia. Dwadzieścia dziewięć lat pracuję u Ladenbauerów, w przyszłym marcu obchodzić będę swój jubileusz. Melodji nie kradłem nikomu, wszystko to jest moje, wszystko własne! A czy pan wie, ile razy w tym czasie grano moje dzieła sceniczne? Osiemnaście, panie! Czy nie prawda Jedek?

Jedek nie przestawał się śmiać po cichu, oczy mając szeroko otwarte. Przysunął do siebie wszystkie trzy szklanki, i zaczął palcami wodzić po ich brzegach. Brzmiało to delikatnie, nawet trochę wzruszająco, jak gdyby z oddali dochodziły odgłosy obojów i klarnetów. Wprawdzie Breiteneder podziwiał tę sztukę u Jedeka; ale w tej chwili nie mógł znieść tych tonów. Za to przy innych stolikach słuchano uważnie, kilka osób kiwało

głową z zadowolenia, pewien zaś tłusty pan kłaskał w ręce. Nagle Jedek odsunął wszystkie trzy szklanki, ręce skrzyżował na piersi i bezmyślnie patrzył w ulicę, którą coraz więcej ludzi szło ku laskowi. Karolowi majaczyło coś przed oczyma i zdawało mu się, że tych ludzi tańczących i kołyszących się widzi jakgdyby za gazą lekką. Tarł sobie czoło i rzęsy, chciał przyjść do siebie.

Przecież on temu nic nie był winien! Stało się straszliwe nieszczęście, ale nie jego w tem wina. Nagle powstał, nie chciał bowiem zastanawiać się dłużej, gdyż to zastanowienie rozpierało mu piersi.

— Chodźmy — rzekł krótko.

— Rzeczywiście, świeże powietrze, to grunt — odparł Rebay.

Jedek był zły i nikt nie wiedział dla czego. Stał przed stołem, przy którym siedziała jakaś spokojna para, wywijał laseczką i krzyczał podniesionym głosem;

— Niech djabli porwą sztukę i instrumenta muzyczne do stu jasnych piorunów!...

Spokojna para nieustraszyla się tym okrzykiem i chciała Jedeka uspokoić, ale inne osoby się śmiały, sądząc, że biazen jest pijany.

Breiteneder i Rebay dawno byli na ulicy, gdy za nimi w podskokach podążył Jedek, który teraz był już znów zupełnie spokojny. Zdjął kapelusik szary, zawiesił go na laseczce i niósł, jak nosi żołnierz karabin; drugą ręką wykonywał ruchy, jak gdyby kłaniał się niebu i słońcu.

— Niechaj pan nie myśli, że się chcę usprawiedliwiać — mówił Rebay dzwoniąc zębami. — Nie! nie mam do tego żadnego powodu. Miałem najlepsze intencje i to każdy mi przyzna. Czyż tej piosenki sam z nią nie przestudjowałem?... Jeszcze wtedy, gdy z zawiązanymi oczyma siedziała w pokoju, odbywałem próby... A czy panu

wiadomo, w jaki sposób wpadłem na tę myśl! Oto pomyślałem sobie tak: Stało się nieszczęście, ale przecież nie wszystko jest jeszcze stracone. Zachowała głos i twarz piękną. To samo powtórzyłem matce, która zupełnie była zrozpaczona. „Moja pani Ladenbauer”, mówiłem, „jeszcze nie ma nic straconego. W dzisiejszych czasach są jeszcze takie zakłady, gdzie niewidomych z czasem uczą nawet czytać i pisać. Znałem takiego młodzieńca, który oślepl w 20-tym roku życia. W dzień był bardzo nieszczęśliwy, ale gdy przysłała noc, to mu się śniły różne rzeczy, pożary, ognie i w ogóle wszelkie jasności”. Tak mówiłem do pani Ladenbauerowej...

Breiteneder wybuchnął śmiechem;

— Czy pan to mówi serjo?

— I cóż miałem robić? Czy może się zabić? Dostyc już nieszczęść przeszedłem na świecie. Albo może pan myśli, że to miłe życie akompaniować na nędznym klawicymbale rozmaitej zachryplęj hołoeie i robić to w 68-ym roku życia za nędżnych kilka centów dziennie wtedy, gdy człowiek jako młody chłopiec napisał piękną sztukę teatralną? Jeszcze pisać dla tej hołoty kuplety!... I czy pan wie, co ja za taki kuplet dostanę?... Zdumiałby się pan, gdybym panu powiedział.

— Ha! Gdy się raz już zagra na jakim instrumencie, to potem trzeba grać wiecznie — wtrącił Jedek, który teraz stał się zupełnie poważny, przyzwoity, a nawet elegancki.

— Wszystko to dobrze, powiedzcież mi jednak panowie, czego wy właściwie odemnie chcecie? — zapytał Breiteneder któremu wydało się teraz, że ci dwaj ludzie prześladują go, nie wiadomo za co. Co on z tymi ludźmi ma wspólnego?... Ale Rebay mówił dalej:

Byt chciałem zapewnić tej dziewczynie, czy pan rozumie? Byt chciałem zapewnić, i właśnie

to sprawić miała nowa piosenka. Czy ta piosenka nie jest ładna, czy nie wzruszająca?

Mały Jedek schwycił w tej chwili Breitenедера za rękaw, podniósł palec wskazujący do góry, nakazując uwagę i zagwizdał melodję piosenki, którą Marja Ladenbauer śpiewała tej nocy. A gwizda ją w sposób skończenie doskonały, gdyż i to należało do jego kunsztu.

— Melodja nic nie zaszkodziła—rzekł Breiteneder.

— Cóż więc zaszkodziło? Może tekst? Ależ na miłość Boską! czyż w tym tekście jest coś takiego, o czem Marja nie wiedziała sama? Kiedy w jej pokoju studjowaliśmy tę piosenkę, ani razu nie zapłakała i raz tylko powiedziała: „To smutna piosenka, panie Rebay, ale ładna”... Ładna, podobała się jej.. No! naturalnie, że piosenka jest smutna, ale też smutna jest dola, którą jej los zgotował. Przecież w takich warunkach nie mogłem dla niej napisać wesołej piosenki.

Ulica wbiegała do lasu, przez gałęzie drzew przedostawało się słońce, a wokół z pośród zarośli i krzaków uszu ich dochodziły śmiechy i wesołe okrzyki. Wszyscy trzej szli szybko, tak szybko, jak gdyby jeden chciał wyprzedzić drugiego. Ale Rebay mówił ciągle:

— A słuchacze, czyż do stu piorunów, nie oklaskiwali jej jak warjaci! Z góry wiedziałem, że ta nowa piosenka będzie miała powodzenie bajeczne. Zrobiło jej to wielką przyjemność, śmiała się, ostatnią zaś zwrotkę musiała powtarzać. Ale też to jest wzruszająca zwrotka i kiedym ją pisał, sam łzy miałem w oczach. Wzrusza szczególnie ta aluzja do piosenek, które dawniej śpiewała.

Stary zaczął śpiewać, choć właściwie nie śpiewał, lecz deklamował i tylko rymy wybijał silnie, wydobywając tony, jak gdyby z zepsutego organu:

„Jakże mi w świecie wtedy *było mity*,
„Gdy słońce dla mnie, jak innym, *świeciło*
„Gdy z ukochanym szliśmy *razem laskiem*
„A promień słońca grzał miłosnym *blaskiem*.
„Dziś nie ma słońca, przed mym *wzrokiem ciemnie*,
„Szczęście i miłość *odbiegły odemnie*“.

— Dosyć, dosyć!—krzyknął Breiteneder—Przecież słyszałem to wszystko!

— I może powie pan, że to nieładne?—odpowiedział Rebay, uchylając ż gracją cylindra.—Nie wielu jest takich na świecie, którzyby podobne umieli tworzyć kuplety. Pięć reńskich dał mi za to stary Ladenbauer... i oto są moje honorarja, panie Breiteneder. A przytem musiałem przecież przestudjować z nią wszystko.

W tej chwili Jedek podniósł znów do góry swój palec wskazujący i bardzo cicho śpiewał *refrain* piosenki:

„O Boże! Jak gorzki jest ten żywot cały
„Gdy sny wiosenne wszystkie się rozwiały.“

— Dlaczegoż zatem—nie mówił już, ale krzyczał stary Rebay—dlaczego? Przecież byłem u niej zaraz w pokoju! Czyż kłamię? Powiedz Jedek. Ona rozkosznie uśmiechnięta siedziała wtedy, piła wino, ja gładziłem jej włosy i mówiłem do niej: „No, widzisz Maryniu, to się ludziom podobało. Teraz nawet z miasta przyciągną do nas goście. Ta piosenka robi furorę; a śpiewasz przecudownie”. Co tam dalej mówiłem, nie wiem, ot! gadało się, co się zwykle gada w tego rodzaju okolicznościach... Przyszedł gospodarz lokalu, wieszował, nawet kwiaty dostała. Od pana te kwiaty nie pochodziły, o tem wiem, panie Breiteneder... I wszystko było w porządku... Więc dlaczegoż właśnie mój kuplet miał zaszkodzić? Nie! To nonsens wierutny.

Breiteneder przystanął i nagle zaczął potrząsać ramionami Rebaya.



— Dla czego powiedziałeś, że ja jestem na sali? Dla czego? Czyż pana nie prosiłem, ażebyś milczał.

— Niech mnie pan puści!... Ja nie nie powiedziałem, widocznie słyszała od rodziców.

— Tak nie było — wpadł w tok rozmowy Jedek — ja sobie pozwoliłem powiedzieć jej o tem. Wiedziałem, że pan jest, więc ją o tem objaśniłem, a ponieważ ona pytała się o pana podczas swojej choroby, więc rzekłem: „Pan Breiteneder stał tam daleko pod latarnią i ogromnie się zajął pani piosenką”.

— To tak było? — krzyknął Breiteneder, ale w tej chwili coś schwyciło go za gardło i musiał odwrócić oczy od Jedeka, który zimno, ale uparcie patrzył na niego.

Zmęczony Karol padł na ławkę i przymrużył oczy. Zdawało mu się, że jest znów w tym samym ogrodzie i że słyszy głos starej Ladenbauerowej, która mówi: „Marynia pozdrawia pana i pyta się, czyby pan z nami nie usiadł razem po przedstawieniu?” Przypomniawszy sobie, jak to nieraz było mu przyjemnie, gdy stara Ladenbauerowa odzywała się w ten sposób. Dziwnie słodko było mu wtedy na sercu.

I tym razem zdawało mu się, że Marja przebaczyła mu wszystko; więc wypił wino i kazał sobie dawać coraz lepszego, bo życie zdawało mu się łatwiejsze do zniesienia.

Odtąd patrzył też na wszystkie produkcje artystyczne z wielkiem zadowoleniem, bił oklaski jak wszyscy inni ludzie, a kiedy przedstawienie się skończyło, w najlepszym usposobieniu przeszedł przez ogród i udał się do gabinetu, gdzie przy okrągłym stoliku zwykle się było zbierać towarzystwo całe po przedstawieniu.

Zastał tu już kilku członków trupy; siedział przy stole Wiegel-Wagel, Jedek z żoną, jakiś pan

w okularach, którego Karol nie znał, a wszyscy uprzejmie go pozdrowili, wcale tem nie zdziwieni, że się znalazł pomiędzy nimi.

Nagle posłyszał poza sobą głos Marji:

— Ależ ja trafię, mam, znam drogę.

Nie śmiał się obejrzeć, i nie spostrzegł się wcale, gdy Marja usiadła przy nim i rzekła:

— Dobry wieczór panu. Jakże panu się powodzi?

W tej samej chwili przypomniał sobie, że Marja „panie” zwykła była mówić tylko do tych mężczyzn, którzy byli zapomnianymi już tylko kochankami.

A potem kazała sobie podać kolację. Tę kolację podano jej w ten sposób, że wszystko było już poprzednio pokrajane. Towarzystwo bawiło się doskonale, jak gdyby nigdy nic nie zaszło.

— Dobrze nam dzisiaj poszło — rzekł stary Ladenbauer — widzę, że teraz dla nas lepsze nastaną czasy.

Pani Jedek opowiadała, że wszyscy zauważyli, iż głos Marji daleko jest piękniejszy, niż przedtem, stary zaś Wiegel-Wagel podniósł szklanicę i zawołał:

— Niech żyje nasza zmartwychpowstała! Niech żyje nasz „Biały kos!”

Marja kielich swój podniosła w górę, wszyscy się tręcali, a nawet Karol brzęknął z lekka. I w tej chwili zdawało mu się znów, że ona swoje obumarłe oczy zatapia w nim i spogląda w głąb jego duszy. Nawet brat Marji przybył i był ubrany bardzo elegancko; poczęstował Karola cygarem.

Ale najweselsza w całej kompanji była Ilka, której wielbiel, młody, ale tłusty mężczyzna o wystraszonem ciągle obliczu, siadł naprzeciw niej i rozmawiał z ogromnem ożywieniem ze starą Ladenbauerową. Jedną tylko pani Jedek nie zdjęła swo

jego żółtego płaszcza i patrzyła w sam róg pokoju, gdzie doprawdy nic nie mogła zobaczyć. Od czasu do czasu podchodzili goście z innych stolików i życzenia swoje składali Marji. Ona odpowiadała, jak zwykle, po cichu, jak gdyby nic się nie stało.

Nagle zwróciła się Marja do Karola:

— Dlaczegoż jednak pan dzisiaj taki milczący?

Teraz dopiero spostrzegł Karol, że dotąd nawet ust nie otworzył i to właśnie popechnęło go, że stał się bardziej ożywionym i brał udział w ogólnej rozmowie. Tylko do Marji nie rzekł ani słowa. Rebay opowiadał wtedy o tych pięknych czasach, kiedy dla Matrasa pisywał piękne kuplety, przytaczał treść jakiejś farsy, którą spłodził przed 35-ciu laty, sam pokazywał jak się to grało i ogromnie zabawił towarzystwo, gdy zaczął naśladować muzykanta czeskiego.

O godzinie 1-szej wstano od stołu i stara Ladenbauerowa podała ramię swojej córce. W około rozlegały się śmiechy, okrzyki, a jednak Karolowi dziwnie było na sercu. Nikt nie widział tutaj nic nadzwyczajnego w tem, że przed oczyma Marji „rozległy się ciemnie.”

Karol szedł tuż obok niej, a Ladenbauerowa zupełnie potocznie pytała go się o różne rzeczy, jak tam dzieje się w domu, jak się bawił w podróży i t. p.? Karol skwapliwie korzystał ze sposobności i plótł rozmaite historie o teatrach, estradach, kabaretach, które zwiedził i jednemu się tylko dziwił, że Marja, prowadzona przez matkę, idzie tak spokojnie i wesoło.

Weszli następnie do kawiarni w starym, dymem przesiąkniętym lokalu, pustym zupełnie o tej porze; ugaszczal tutaj całe towarzystwo gruby przyjaciel Ilki. Zgiełk i wrzask zapanował w towarzystwie, a Marja siedziała tuż obok niego i czuł

ciepło jej ciała, jak to nieraz bywało dawniej. I poczuł nagle, że Marja dotknęła się jego ręki i kilkakrotnie łagodnie ją pogłaskała, nie rzekłszy przy tem ani słowa. Jakże chętnie powiedziałby jej w tej chwili coś miłego, coś pocieszającego, — nie mógł się jednak zdobyć na to... Patrzył tylko na nią z boku i znów wydawało mu się, że czyta w jej oczach zamarłych. Nie były to jednak oczy ludzkie, tkwiło w nich coś odpychającego, coś takiego, co wzbudzało dreszcze, a czego poprzednio nigdy nie widywał u niej. Wstrząsnął się całym ciałem, jak gdyby ujrzał przy sobie upióra. Jej ręka zadrżała i usunęła się zlekka, przyczem Marja rzekła cicho:

— Dla czego się boisz? przecież jestem taka sama, jak dawniej.

Nie umiał nic na to odpowiedzieć, ażeby zaś zagłuszyć w sobie to uczucie, zaczął rozmowę z innymi towarzyszami zabawy.

Rozmawiano wesoło, gdy nagle rozległ się głos:

— Gdzież na Boga podziała się Marja?

Okrzyk ten wydała z siebie stara pani Ladenbauerowa. I dopiero teraz wszyscy spostrzegli, że dziewczę gdzieś zniknęło. Natychmiast też zaczęto wołać na wszystkie strony:

— Gdzie Marja? gdzie Marja?

Kilka osób zerwało się z miejsc, a stary Ladenbauer stanął u drzwi wejściowych do kawiarni i wołał w stronę ulicy:

— Marjo!

Zniknięcie to poruszyło wszystkich, mówiono, radzono bezładnie.

Ktoś rzekł:

— Jakże można było pozwolić, ażeby takie stworzenie mogło wstać z miejsca i odejść.

Na dziedzińcu zaczęto wołać:

— Przynieście świece!... Dajcie latarni! —
A równocześnie posłyszano jęk: „Jezus Marja!”

Ten jęk wydała znów z siebie stara Ladenbauerowa.

Teraz już wszyscy przez kuchnię kawiarni wybiegli na podwórze.

Po przez dachy domów sąsiednich poczał się zakradać świt...

Podwórze, przylegające do jednopiętrowego, starego domu okolone było gankiem drewnianym, na poręczy zaś jakiś człowiek bez surduta opierał się, wychylał i trzymał pochodnię w rękę, spoglądając na dół. Za nim ukazały się dwie kobiety w bieliźnie nocnej; ktoś inny biegł po skrzypiących schodach na dół. Wszystko to rzuciło się najpierw w oczy Karolowi... a potem coś zamajaczyło mu przed oczyma, ktoś uniósł biały szal koronkowy w górę i opuścił go na dół. Karol posłyszał około siebie głos:

— Tu już nic nie pomoże, przecież ona się wcale nie porusza...

Przyprowadźcież nareszcie doktora!... Dlaczego nie zawezwano pogotowia?.. Policja!... Policja!...

Na okół szeptano, kilka osób wybiegło na ulicę, wzrok zaś Karola biegł szczególnie za jedną postacią. Była to wysoka, chuda Jedekowa w swoim płaszczu żółtym. Obiema rękami zrozpaczona przyciskała sobie skronie, a potem popędziła za in-nemi na ulicę i nie wróciła więcej. Karola parli naprzód ludzie i musiał się łokciami bronić, ażeby go nie wopchnięto na starą Ladenbauerową, która klęczała na ziemi, trzymając ręce Marji w swoim ręku, wstrząsała dziewczyną i krzyczała:

— Przemów nareszcie... no! mów że coś!...

Nareszcie nadszedł z latarnią stróż domu w brunatnym szlafroku i pantoflach drewnianych. Latarnia rzuciła światło na oblicze Marji. Stróż mruzczał:

— Nie! Tego rodzaju nieszczęście jest dziwne! Właśnie do studni musiała nadejść i tutaj wpaść głową naprzód.

Teraz dopiero Karol zaczął na dobre się rozglądać i spostrzegł, że Marja leżała wyciągnięta na bruku kamiennym, okalającym studnię.

Człowiek bez surduta mówił:

— Słyszałem jakieś stuknięcie nie dalej jak przed pięciu minutami.

Wszyscy spojrzeli na niego, on zaś powtórzył:

— Nie ma nawet jeszcze pięciu minut.

Karol posłyszał za sobą szept:

— Ależ, proszę pana, ten dom przecież znała dobrze; macając rękami, wyszła z kuchni na schody, później przechyliła się przez barjerę—to wszystko nie takie trudne do zrozumienia.

W ten sposób szeptano obok Karola, ale on nie rozpoznawał nawet głosów, chociaż z pewnością byli to jego znajomi; nawet się nie odwrócił.

Gdzieś w sąsiedztwie zapiał kogut, a Karolowi zdawało się, że to sen tylko. Stróż postawił latarnię na ocembrowaniu studni; stara Ladenbauerowa krzyczała:

— Czyż ten doktor nadejdzie nareszcie?

Stary Ladenbauer podniósł głowę Marji w górę i światło, padające z latarni, oświetliło jej oblicze. Teraz spostrzegł Karol zupełnie wyraźnie, że nozdrza się poruszają, że wargi drżą, oczy zaś otwarte tak samo zdają się patrzeć na niego jak dawniej. Spostrzegł również, że to miejsce, na którym leżała poprzednio głowa Marji, mokre było i czerwone. Krzyknął: „Marjo! Marjo!” Nikt nie zważał na to i on sam nie słyszał nawet swojego głosu.

Ów człowiek na ganku stał jeszcze ciągle na swoim miejscu, przechylony po przez barjerę, owe

dwie kobiety stały również, jak gdyby przyglądało się to towarzystwo ciekawemu widowisku.

Pochodnia zgasła i wczesny świt fioletowy rozłożył się na podwórzu.

Stara Ladenbauerowa podłożyła pod głowę Marji zwinięty w rodzaj poduszki szal koronkowy; Karol stał bez ruchu i błędnym wzrokiem patrzył na to.

Robiło się coraz jaśniej na dworze i Karol widział teraz, że na obliczu Marji nie objawiają się już żadne drgania. Nie ruszała nozdrzami, wargami, i tylko krople krwi spadały jej ze skroni na rozwiane włosy, na usta, na szyję, a spadały wolno, zraszając bruk kamienny. Teraz wiedział już, że Marja umarła...

Karol otworzył oczy, jak gdyby chciał sen przykry odpędzić od siebie. Sam jeden już teraz siedział na ławce w alei i widział, jak kapelmistrz Rebay i narwany Jedek szybko uchodzili ulicą, którą razem szli niedawno. Ci dwaj ludzie wiedli jakąś gwałtowną rozmowę, wymachiwali rękami, wykonywali gwałtowne ruchy, a laseczka Jedeka wyglądała jak linja delikatna, zawieszona w powietrzu. Szli coraz szybciej, towarzyszył im kurz lekki, ale słowa, które mówili, ginęły, rozproszone wiatrem. W okolo w całym blasku słonecznym tonął piękny krajobraz, a tam na dole pływało w słońcu i drgało życiem miasto.



LIST PRZEDŚMIERTNY

Andrzeja Thameyera.

Stanowczo nie mogę żyć dłużej. Gdybym pozostał przy życiu, to ludzie drwiliby sobie ze mnie i nikt nie chciałby dowiedzieć się prawdy. A jednak tą prawdą jest, że żona moja była mi wierna. Przysięgłam na wszystko, co mi jest święte i tę przysięgę pieczętuję śmiercią swoją. Przeczytałem wiele książek w tej materji trudnej do rozjaśnienia i zagadkowej, przekonałem się też, że jeżeli są ludzie, którzy faktowi samemu w sobie przeczą, to również dobrze istnieją bardzo poważni uczeni, którzy o fakcie są przekonani. Zamierzam tutaj przytoczyć kilka przykładów, które każdemu człowiekowi bezstronnemu wydać się muszą dowodami niezbitymi. Tak np. opowiada Malebranche o pewnej kobiecie, która z okazji kanonizacji świętego Piusa z takim przejęciem patrzyła w obraz, że chłopięc, którego w krótko potem wydała na świat, najzupełniej podobny był do tego świętego. Co więcej nawet, oblicze dziecka miało zmęczone rysy twarzy starca, ręce miało skrzyżowane na piersiach, oczy zwrócone ku niebu, a w dodatku jeszcze na ramieniu po-

siadał znamie, przedstawiające zwieszającą się czapeczkę.

Komuby się jednak to opowiadanie, pomimo autorytetu świadka, tego następcy sławnego filozofa Kartezyusza, wydawało jeszcze niedostatecznie wiarogodne, to może wystarczy mu świadectwo Marcina Lutera. Luter (tak przynajmniej czytamy w jego mowach) znał w Witténbergu pewnego obywatela, który miał trupa główkę i rzecz to była dowiedziona, że matka tego pożałowania godnego człowieka przestraszyła się ogromnie, ujrawszy trupa.

Najważniejszą jednak wydaje mi się historia, opowiedziana przez Heljodora w „*Libri aethiopicorum*”. Niema żadnego powodu poważnego do zaprzeczenia temu faktowi. Otóż podług tego cennionego autora, królowa Persina po dziesięcioletnim bezdzietnem małżeństwie obdarzyła króla Etiopów, Hydaspera białą córką, którą ze strachu przed spodziewanym gniewem męża, zaraz po urodzeniu kazała usunąć. Ale na drogę dała dziecku pasek, na którym opisany był powód tego niezwykłego wypadku. W ogrodzie okalającym pałac królewski, gdzie poczęła królowa w objęciach swojego czarnego małżonka, były wspaniałe posągi marmurowe bogów i bogiń greckich, i na te posągi zwróciła swoje oczy Persina w ekstazie miłosnej.

Potęga ducha sięga jednak dalej jeszcze i nie tylko ludzie zabobonni lub prostacy w to wierzą. Dowodzi tego następująca historia, która się przytrafiła w roku 1637-ym we Francji. Tutaj urodziła pewna kobieta chłopca po czteroletniej nieobecności swojego męża i przysięgała, że we właściwej porze śniła o mężu z takim ożywieniem, jakgdyby on był przy niej obecny. Lekarze i akuzerki w Montpellier uznali, że taki fakt jest mo-

żliwy, sąd zaś w Hawrze przyznał dziecku wszystkie prawa dziecka ślubnego.

U Hamberga w „Zagadkowych wypadkach w naturze”, na stronie 74-tej znajdujemy historję o pewnej kobiecie, która wydała na świat dziecko z głową lwa. Jak się okazało, kobieta ta w siódmym miesiącu stanu błogosławionego oglądała z mężem i matką produkcję poskromiciela lwów. Czytałem także inną opowieść, którą znaleźć można w książce Limbecka „O zapatrzaniu się kobiet” (Bazylea 1846 str. 19). Autor przytacza fakt urodzenia się dziecka z wielkim znamieniem na wardze. Powód do tego dał ogień, któremu matka na kilka tygodni przedtem przyglądała się, rękę trzymając przy ustach. W książce tej znaleźć można jeszcze inne, nadzwyczaj ciekawe przykłady. W chwili gdy to piszę, książka ta leży przedemną na stole i przeglądałem jej karty, znajdując tu wiarogodne, naukowo stwierdzone dowody. Nie mniej wiarogodny jest fakt, który sam przeżyłem, albo raczej, który przeżyła moja żona, kobieta do ostatka wierna mi, na co klęę się, żyjąc jeszcze na świecie.

Czy przebacysz mi teraz moja kochana żono, że pomimo to idę na śmierć? Musisz mi przebaczyć. Przecież ja umieram tylko z miłości dla ciebie, nie mogę bowiem znieść, ażeby ludzie wyśmiewać, wydrwiwać mieli mnie i ciebie. Teraz przestana się śmiać, teraz zrozumieją wszystko, jak ja to rozumiem. Wiedźcie wy, którzy ten list znajdziecie na stole, że w tej chwili, kiedy to piszę, ona w przyległym obok pokoju śpi smacznie i spokojnie, jak tylko spać mogą ludzie, którzy mają czyste sumienie. I jej dziecko, nasze dziecko, które teraz liczy 14 dni życia, leży obok w kołysce i śpi również. Zanim ten dom opuścę, pójdę do nich i nie budząc wcale, złożę pocałunek na ich skroniach.

Opisuję to wszystko tak dokładnie, ażeby czasami nikt nie pomyślał, że zawarowałem... Niel wszystko rozważyłem sobie dobrze i jestem najzupełniej spokojny.

Gdy skończę pisanie tego listu, wyjdę z domu w późną noc na puste ulice i udam się coraz dalej tą samą drogą, którą tak często chodziłem z żoną moją w pierwszym roku po ślubie. Przejdę Dornbach i podążę jeszcze dalej, aż do lasu. Tak, wszystko to dobrze sobie ułożyłem i zmysły mam w zupełnym porządku.

A teraz posłuchajcie, o co mi chodzi:

Nazywam się Andrzej Thameyer, jestem urzędnikiem w austriackiej kasie oszczędności, mam lat 34, mieszkam przy głównej ulicy Hernalser № 64, żonaty od czterech lat. Żonę moją znałem siedm lat przed ślubem. Odrzuciła ona dwóch konkurentów, mnie bowiem tylko kochała i gotowa była czekać, dopóki nie ustalę sobie bytu. Konkurentami tymi byli: Komisarz z pensją 1800 reńskich, oraz bardzo przystojny student medycyny z Tryestu, zajmujący pokój u rodziców mojej żony. Proszę tylko zauważyć dobrze. Odrzuciła dwóch konkurentów dla mnie, chociaż nie byłem ani piękny, ani bogaty i ślub nasz z roku na rok musiał być odwlekany. I wobec tego śmia ludzie twierdzić, że kobieta, która siedm lat cierpliwie czekała na mnie, zdradzała mnie potem? Ludzie są głupi i ubodzy duchem, do głębi serc naszych nie umieją wejrzeć, cieszą się z cudzego nieszczęścia i wogóle są ordynarni. Ale oni zamilkną teraz wszyscy, ba! Teraz wszyscy będą musieli powiedzieć: „Złe czyniliśmy, widzimy to teraz żona twoja była ci wierna i wogóle niepotrzebnie odebrałaś sobie życie”. A ja wam na to odpowiadam: Właśnie, że to było potrzebne! Gdybym pozostał przy życiu, to drwilibyście dalej ze mnie wszyscy. Jeden tylko pomiędzy wami jest

człowiek dobry i szlachetny: stary doktor Walter Brauner. Ten człowiek, zanim jeszcze wprowadził mnie do pokoju, rzekł: „Mój kochany Thameyerze, niechaj się pan tylko nie wystraszy i nie wzrusza siebie i żony. Takie rzeczy przytrafiały się już często. Przyniosę panu jutro książkę Limbecka i inne traktujące „O zapatrzeniu się kobiet”.

Te książki leżą przedemną i najusilniej proszę krewnych moich, ażeby je z najgłębszym podziękowaniem oddali znakomitemu człowiekowi, doktorowi Braunerowi. Po za tem nie daję żadnych rozporządzeń. Testament napisałem dawno i nie mam żadnego powodu go zmieniać, gdyż żona była mi wierną, a to dziecko, którem mnie obdarzyła, jest mojem dzieckiem. Że zaś ma taki dziwny kolor skóry, to wytłomaczę w sposób najprostsz. Tylko złośliwość lub nieuctwo może nieuwierzyć mojemu objaśnieniu, twierdzą też, że gdybyśmy żyli nie pomiędzy złośliwymi i głupimi ludźmi, to każdy by to zrozumiał i ja mógłbym pozostać przy życiu. Ale w naszych warunkach ludzie albo się uśmiechają drwiąco, albo też śmieją prosto w oczy. Nawet pan Gustaw Rengelhold, wuj mojej żony, dla którego zawsze z największym byłem szacunkiem, w sposób bardzo mnie obrażający mrugał tylko oczami, gdy po raz pierwszy ujrzał moje dziecko. Nawet moja matka własna w dziwnie zdumiewający sposób ścisnęła moją rękę, jak gdybym potrzebował współczucia. Koledzy w biurze szepotali pomiędzy sobą, gdy wszedłem do pokoju, a stróż domu, którego dzieciom na gwiazdkę podarowałem mój stary zepsuty zegarek, wiedząc, że jako zabawka zawsze odda swoje usługi — stróż przygryzał wargi, ażeby się nie śmiać, gdy przechodziłem obok niego. Kucharka nasza taka jest wesoła i rozbawiona, jak gdyby była pijana. Sklepikarz z rogu trzy czy cztery razy wybiegał przed drzwi i znacząco patrzył na mnie, a niedawno rzekł

do pewnej starej pani: „Oto on.” Jako dowód szybkiego roznoszenia najgłupszych nieraz plotek, posłużyć może fakt, że obcy ludzie, których wcale nie znam, wiedzą o wszystkim, przyglądają mi się znacząco, nie wiadomo dlaczego. Onegdaj wracając tramwajem do domu, słyszałem, jak trzy stare baby rozmawiały o mnie, imię moje nawet wymawiały jaknajdokładniej. Stałem wtedy na platformie. A teraz zapytuję się was na cały głos (Umyślnie to czynię, ten list mój bowiem tworzy dokument). — „Co mam robić? Co mi teraz pozostało? Przecież nie mogę każdemu powiedzieć: Przeczytaj sobie Hamberga „Dziwy natury” albo znakomite dzieło Limbecka „O zapatrzaniu się kobiet”. Przecież nie mogę uklęknąć przed wami i błagać was: „Ludzie! nie bądźcież dla mnie tacy okrutni, zrozumiejcie, że żona moja zawsze była mi wierną!” Ona się tylko zapatrzyła, kiedy w sierpniu razem z siostrą poszły do ogrodu zoologicznego, gdzie ci niemili murzyni rozbili swoje namioty. Przysięgam, że ona się zapatrzyła, cała bowiem rzecz tak się miała:

Owego dnia, a właściwie jeszcze kilka dni przedtem, bawilem u rodziców moich na wsi. Ojciec mój był chory, ciężko chory i rzeczywiście w kilka tygodni później umarł. Ale to nie należy do rzeczy. Otóż Anna pozostała sama i kiedy powróciłem ze wsi, to zastałem żonę moją w łóżku. Z tęsknoty, z niecierpliwości, a zresztą czy ja wiem dlaczego zachorowała! — Dość, że położyła się do łóżka. A przecież ja tylko przez trzy dni byłem nieobecny... Tak bardzo kochała mnie ta kobieta. Musiałem usiąść zaraz przy jej łóżku, ona zaś opowiadała mi, jak przepędziła te trzy dni. Nawet się jej nie pytałem, ona zaś opowiadała wszystko. Słowa jej notuję tutaj z konieczną w tym wypadku dokładnością, a więc: W poniedziałek cały czas przedpołudniowy pozostała w domu; po południu

poszła z Fritzi (w ten sposób pieśczeniwy, nazywamy jej siostrę niezamężną, Fryderykę) do miasta, ażeby dokonać zakupów.

Fritzi jest zaręczona z dzielnym chłopakiem, który pracuje w Bremie w wielkim interesie handlowym. Ona pojedzie do Bremy, ażeby tam wziąć z nim ślub. Ale to jest rzecz poboczna, wiem o tem. We wtorek padał deszcz, i żona moja przez cały dzień pozostała w domu. U moich rodziców również tego dnia padał deszcz; przypominam to sobie jaknajdokładniej.

Nadeszła środa. Tego dnia wieczorem żona moja z Fritzi udały się do ogrodu zoologicznego, gdzie murzyni rozbili swoje namioty. Muszę tu dodać, że tych ludzi sam później widziałem, a mianowicie we wrześniu. Wówczas byliśmy tam z Rudolfem Bittnerem i jego żoną pewnej niedzieli wieczorem. Anna nie chciała pójść z nami, taki wstręt poczuła do murzynów od owej środy. Powiedziała mi wtedy, że nigdy w życiu nie przebiegł jej taki dreszcz, jak wtedy, gdy wieczorem sama jedna znalazła się pomiędzy murzynami.

Tak jest! sama jedna, gdyż Fritzi zniknęła gdzieś nagle. O tym fakcie nie wolno mi zamilczeć, ale nie mówię co do Fritzi, ponieważ jest to mój list ostatni. Muszę jednak na tem miejscu zwrócić pierwsze moje ostrzeżenie dla Fritzi, ażeby narzeczzonego swojego nie martwiła, bardzo porządny bowiem ten człowiek mógłby z tego powodu być nieszczęśliwy. Niestety! fakt pozostaje faktem, że owego wieczoru Fritzi z panem... pocóż jednak będę wymieniał nazwisko tego pana, którego znam doskonale i o którym wiem, że nie najlepszą cieszę się opinią pomimo, iż jest żonaty!

Fritzi tedy gdzieś zawieruszyła się tego wieczoru. Moja żona pozostała nagle sama.

Wieczór był pochmurny, jak to się czasami zdarza o schyłku lata. Co do mnie, to nigdy wie-

czorem nie wychodzę do Prateru bez paltota i przypominam sobie, że często z łak wydobywają się szare opady, w których nikną światła latarni. Taki to był wieczór w ową środę, gdy Fritzi zniknęła nagle! i gdy moja żona naraz została sama. Któż nie zrozumie, że w tych okolicznościach niezwykły dreszcz przebiegł ciałem tej kobiety, gdy przed sobą ujrzała olbrzymów z iskrzącymi się oczyma i wielkimi, czarnymi brodami?...

Przez dwie godziny czekała na Fritzi, ciągle się pocieszając, że siostra powróci; w końcu jednak zamykać poczęto bramy i Anna musiała wyjść z ogrodu.

Tak było!... Wszystko to opowiedziała mi Anna, gdy po powrocie rano, jak to już powiedziałem, usiadłem przy jej łóżku. Rękami objęła mi szyję i drżała. Oczy jej były mętne zupełnie i mnie samego strach ogarnął. Owego dnia nie jeszcze nie wiedziałem o zapátrzeniach się kobiet, ona zaś również nic nie wiedziała. Ba! gdybym wiedział, że ona już przyszłe dziecko nasze nosi w swoim łonie, to nigdy nie pozwoliłbym na to, ażeby w dzień pochmurny udawała się z Fritzi do Prateru, i miała być narażona na różne niebezpieczeństwa. Dla kobiety w takim stanie wszystko przedstawia niebezpieczeństwo. Rzecz naturalna, że gdyby Fritzi nie było gdzieś się zawierzowało, to żona moja nigdy nie byłaby wystawiona na taki przestrah, jakiego musiała doznać. Ale to właśnie tworzy owo wielkie nieszczęście, że ona pozostała sama i drżała na myśl, iż Fritzi przytrafić się mogło jakieś nieszczęście...

Teraz minęło już wszystko i na nikogo nie rzucam kamieniem. Musiałem jednak rozpisnąć się obszerniej, ażeby rzecz całą przedstawić zupełnie jasno. Gdybym tego nie uczynił, to kto wie czy nędzni ludzie nie powiedzieliby może: Po-

zbawił się życia dla tego, że był oszukiwanym przez żonę...

O nie! Raz jeszcze powiadam wam nędznicy, że żona moja zawsze była mi wierną, a to dziecko, które wydała na świat jest moim dzieckiem! Kocham ich oboje aż do ostatniego tchnienia mojego życia. Wy mnie tylko zmuszacie do tego, że rzucam się w objęcia śmierci, wy, którzy jesteście ubodzy duchem, złośliwi, przewrotni, którzy nie chcecie nic zrozumieć i w nic uwierzyć. Wiem o tem, że im więcej mówilibym do was, im więcej starałbym się ten wypadek wytłómaczyć naukowo, tem więcej drwilibyście, śmieli może nawet nie wprost w oczy, albo za moimi plecami. Albo znów powiedzielibyście: „Ten Thameyer zwarjował”.

Tej radości nie będziecie mieli, moi drodzy. Umieram za swoje przekonania, za prawdę i przede wszystkim za honor mojej żony. Z chwilą, gdy już będę trupem, przestaniecie wydrwiwać moją żonę, przestaniecie naśmiewać się ze mnie; wtedy też przekonacie się, że takie wypadki się zdarzają, jak o tem piszą: Hamberg, Heljodor, Malbranche, Welenburg, Prenes, Limbeck i wielu innych.

I ty, droga matko, zaiste, dla czego ścisłaś mi tak rękę, jak gdybym godny był współczucia? Ty, matko — wiem o tem dobrze — będziesz prosiła żonę moją o przebaczenie...

Zdaje mi się, że już nic więcej nie mam do powiedzenia. Bije godzina 1-sza. Dobranoc, moi najdrożsi.

Teraz pójdę jeszcze do pokoju sypialnego i poraz ostatni ucałuję żonę moją i dziecko. Potem się oddalę.

Bywajcie zdrowi...

Przepowiednia.

I

W pobliżu Bozen na niewielkiem wzgórzu, zapadniętem w lesie niewidocznym z drogi, leży mała posiadłość barona Schollenga. Jeden z moich przyjaciół, który od dziesięciu lat mieszka w Meranie i którego w jesieni znów spotkałem, zapoznał mnie z baronem. Mąż ten miał wówczas lat 50 i był dyletantem w różnych dziedzinach sztuki. Komponował potroszę, dobrze grał na skrzypcach i na fortepianie, a rysował wcale nieźle. Najpoważniej jednak za młodych lat swoich traktował sztukę dramatyczną i, jak mówiono, bardzo młodym chłopcem będąc, pod przybranem nazwiskiem włóczył się z małemi trupami artystów po kraju. Czy nieprzewyciężony opór ojca, czy uzdolnienie niedostateczne, czy wreszcie poprostu nie miał szczęścia, dość, że baron w czas jeszcze porzucił tę karierę, ażeby bez opóźnienia wstąpić na służbę państwową, naśladowając pod tym względem przykład swoich przodków. Kilkanaście lat strawił jako urzędnik, nie zapalając się jednak wcale do tego zawodu. Gdy jednak zaraz po śmierci ojca swojego, mając lat nie wiele po nad 40-ci, opuścił urząd, to dopiero wtedy okazało się

z jaką lubością zwracał się do swoich snów młodzińczych. Willę swoją u podnóża góry urządził odpowiednio i zawsze latem i w jesieni gromadził tutaj coraz większe koło pań i panów, gotowych przedstawiać łatwe sztuki teatralne i występować w żywych obrazach.

Pani baronowa, pochodząca ze starej, tyrolskiej rodziny mieszczańskiej nie bardzo wprawdzie przejmowała się temi sztukami, ale zanadto była mądra i zanadto przywiązana do męża, ażeby miała mu przeszkadzać. Słabostce barona przyglądała się z pewną ironją, ta ironja jednak była tak dobroduszna, że mąż nie spostrzegał tego, a nawet sądził, iż ona wczuwa się w jego zapal.

Towarzystwo, które się zbierało na zamku, mogło się wydawać surowym sędziom nie dość wybredne, ale przecież wiadoma rzecz, że nawet ludzie, wysokiego urodzenia i stanowiska nie gorszą się nawet tem, gdy znajdują się w kółku, gdzie nie ma żadnego krępowania. Zresztą zamiłowanie do sztuki usprawiedliwia wiele, samo zaś nazwisko i dobre imię baronostwa, nie dopuszczało nawet do żadnych podejrzeń pod względem obyczajności.

Pomiędzy wielu innymi gośćmi, których nazwisk już nawet nie pamiętam, spotkałem w zamku barona pewnego młodego hrabiego, urzędującego w komisarjacie krajowym w Innsbrucku; dalej pamiętam oficera pułku strzelców z Rivy, kapitana sztabu generalnego z żoną i z córką, śpiewaczką operetkową z Berlina, fabrykanta likierów z dwoma synami, barona Mendolta, który świeżo powrócił z podróży naokoło świata, dymisjonowanego aktora nadwornego z Büккеburgu, wdowę hrabinę Saima, która jako dziewczę była aktorką, a teraz zjawiała się z córką; wreszcie znajdował tu się także malarz duński Petersen.

W samej willi nie wiele mieszkało osób; częściej

ulokowała się w Bozen, inni obrali jako siedzibę skromną oberżę, która stała przy zbiegu dwóch dróg, w miejscu, gdzie węższa droga odłączała się od wsi. Pomimo to, przeważnie już w pierwszych godzinach poobiednich, zbierało się całe kółko na górze i od razu rozpoczynano próby sztuk rozmaitych. Czasami próbami temi kierował ów dymisjonowany aktor, czasami zaś sam baron, który jednak nigdy nie brał udziału w przedstawieniach. Takie próby rozpoczynały się żartami i śmiechem, później jednak traktowano je najzupełniej poważnie, a trwały najczęściej do późnego wieczora, kończąc się w przeddzień przedstawienia. Stosownie do humoru, lub terenu, na którym akcja się rozgrywa, do przedstawień obierano albo łąkę graniczącą z lasem poza ogródkiem zamkowym, albo też salę w zamku, parterową, o trzech oknach lukowych.

Przybywszy po raz pierwszy do barona, miałem tylko zamiar przepędzić wesoło dzień na nowym miejscu i wśród nowych ludzi. Ale, jakto zwykle bywa, gdy człowiek tego celu używa w życiu zupełnej wolności, gdy młodość znika, a żadne stosunki nas nie wzywają do ojczyzny, zabawiłem u barona dłużej. Z jednego dnia zrobił się drugi, potem trzeci i w końcu ku wielkiemu zdumieniu swojemu spostrzegłem, że aż do jesieni zabawiłem w zamku, gdzie na mieszkanie przeznaczono mi małą wieżyczkę z pięknym widokiem na dolinę. Ten pierwszy pobyt pozostanie mi zawsze miłym wspomnieniem, pomimo, że wokoło mnie zawsze w życiu było wesoło i gwarno. Na zamku barona panowała cisza, z gośćmi widywałem się tylko w przelocie, większą zaś część dnia przepędzałem na pracy, rozmyślaniach i przechadzkach w pustym lesie. Nawet ta okoliczność, że uprzejmy baron kazał przedstawić jedną z moich małych sztuk, nie zamąciła mi ciszy, nikt bowiem nie

— Cóż zatem widzi? — łagodnie już zapytał pułkownik.

— Czyż koniecznie mam to powiedzieć? — rzucił Marco Pollo.

— Proszę mówić—zawołał pułkownik.

— Wolałbym nie mówić.

Pułkownik wybuchnął śmiechem.

— Śmiało, przecież to nie będzie nic strasznego. A zresztą, gdyby miało być coś strasznego, to jeszcze nie koniecznie ma to być prawda.

— A jednak będzie to coś naprawdę strasznego i... i prawdą będzie.

— Zimno nie da się panu wcale we znaki— zaczął mówić Marco Pollo, ale pułkownik mu przerwał:

— Co to ma znaczyć? Czyżby pułk nasz nareszcie miał być przeniesiony do Rivy?

— O pułku żadnych tutaj nie widzę wskazówek, panie pułkowniku, to tylko widzę, że na jesień będzie pan już trupem.

— Pułkownik śmiał się głośno, my jednak wszyscy zamilkliśmy odrazu. Zapewniłem pana, że doznawałem takiego uczucia, jak gdyby w tej chwili pułkownika skazywano na śmierć. Cisza stawała się niemiłą i któryś z nas umyślnie roześmiał się głośno, inni mu zawtórowali i gwar, wesołość zapanowały na nowo w naszym kasynie.

— Co do mnie—rzekł pułkownik—rzecz cała już jest w porządku, ale czy nikt z panów nie jest ciekawy swojej przyszłości?

Jeden z oficerów rzekł żartem:

— Nie pragniemy niczego się dowiedzieć.

Inny zauważył, że względ na uczucia religijne powinien ludziom zabronić korzystania z wróżbiarzy. Jeszcze inny, młody oficer oświadczył, że tego rodzaju ludzie, jak Marco Pollo, nie powinni chodzić wolno po świecie, lecz przez całe życie siedzieć w więzieniu. Księżę usiadł sobie w rogu

pokoju, rozmawiał z jednym ze starszych panów i słyszałem gdy mówił:

— Gdzież więc cud każdy się zaczyna?

Wtedy podszedłem do Marca Pollo, który już chciał odejść, i cicho, ażeby nikt nas nie słyszał, rzekłem:

— Niech mnie pan wróży.

Prawie mechanicznie wziął moją rękę w swoją i przyjrawszy się trochę, rzekł:

— Tutaj źle widać.

Rzeczywiście zauważyłem, że lampy olejne migotać zaczęły, a ręka moja drżała.

— Wyjdźmy na podwórze, panie poruczniku—rzekł Marco Pollo—wołam światło księżycowe—i trzymając mnie za rękę, przez otwarte drzwi wyprowadził na powietrze.

Nagle dziwna myśl przyszła mi do głowy.

— Panie — rzekłem — jeżeli nic więcej nie umiesz nad to, czego dokonałeś z naszym pułkownikiem, to lepiej dajmy temu pokój.

Marco Pollo puścił moją rękę i uśmiechnął się ironicznie:

— Widzę, że pan porucznik się lęka.

Obejrzałem się szybko w około, czy nas ktoś nie podgląda, i nie podsluchuje. Nie było o to jednak obawy, znajdowaliśmy się bowiem już wtedy po za obszarem koszar na ulicy, wiodącej do miasta.

— Nie sądź pan, że się boję — rzekłem — chciałbym jednak wiedzieć coś pewniejszego, nie takie ogólnikowe rzeczy, jak te, które pan wypowiedział pułkownikowi. Tego rodzaju słowa można sobie zawsze wytłumaczyć w najrozmaitszy sposób.

Marco Pollo spojrział na mnie uważnie.

— Więc czego sobie pan porucznik życzy? Może mam mu przedstawić jak będzie wyglądała przyszła żona pana?

— Czyżby to pan potrafił?

Marco Pollo wzruszył ramionami.

— Może... Sprobuje... Czasami się udaje.

— Nie, tego nie chcę, wolałbym się dowiedzieć, co np. stanie się ze mną później, dajmy na to, za lat dziesięć?

Marco Pollo pokiwał głową:

Tego nie mogę powiedzieć... ale może coś innego? Jakiś wypadek w przyszłym życiu pańskim przewidzieć mogę bardzo dokładnie.

Zrazu nie pojąłem, co mają znaczyć te słowa i zapytałem się go, jak on to rozumie.

— Czarodziejską sztuką moją—odparł—mogę już teraz przewidzieć wypadek, który się wydarzy panu w innej okolicy. Niechaj mi tylko pan porucznik powie, jaki to ma być wypadek?

Nie zrozumiałem go dobrze, że jednak byłem bardzo zaciekawiony, więc rzekłem:

— A zatem dobrze. Jeżeli pan potrafi patrzeć w przyszłość, to niech mi pan powie, co się stanie ze mną w tej samej sekundzie za lat dziesięć? Czy mnie pan zrozumiał?

— Zrozumiałem panie poruczniku — odparł i bystro wpatrzył się we mnie.

I nagle zniknął z przed moich oczu... ale wraz z nim zniknęły również z przed moich oczu koszary i kasyno, które przed chwilą widziałem oblane światłem księżyca, zniknęły wszystkie chałupy wiejskie, rozrzucone w około — i pozostałem sam, taki bardzo sam, jakim nie raz widziałem się tylko we śnie. Zdawało mi się, że postarzałem się o lat dziesięć, że wyrosła mi ciemna, gęsta broda, że miałem bliznę na skroni, że leżałem pośrodku łąki na noszach, że przy mnie klęczała bardzo piękna kobieta z czerwonymi włosami, że ręką zakrywała sobie twarz, że oprócz niej znajdował się przy mnie chłopiec mały i dziewczę, a w oddali widzia-

łem las i dwóch strzelców z pochodniami w pobliżu...

Zadziwia to pana... Prawda? Ale to każdego może zadziwić.

Rzeczywiście byłem zdumiony, to bowiem, co on mi w tej chwili opowiadał, było najdokładniejszą treścią sztuki mojej, która o godzinie 10-tej miała się zakończyć, a w której on odgrywać miał umierającego bohatera.

— Może pan powątpiewa?—ciągnął dalej pan Umprecht—ale wcale nie myślę brać panu tego za złe. Dla rozwiania pańskich powątpiewań, przedstawię panu jeszcze jeden dowód.

Sięgnął do kieszeni surduta i wydobyl zapieczętowaną kopertę.

— Proszę, niech pan zobaczy co tu napisano na stronie odwrotnej.

Przeczytałem głośno: „Na podstawie aktu rejentalnego zapieczętowano tę kopertę w dniu 4-tym stycznia 1859 roku; ma być otwarta w dniu 9 września 1868 roku.” Następował podpis doskonale mi osobiście znanego notariusza d-ra Artinera w Wiedniu.

— To dziś właśnie — rzekł pan Umprecht.— Dziś właśnie mija 10 lat od chwili, gdy mi się zdarzył ów tajemniczy wypadek i Marco Pollo objawił swoją przepowiednię, która teraz w oryginalny wielce sposób znalazła swoje wytłomaczenie. Z roku na rok, jak gdyby siła wyższa igrała sobie z moim losem, spodziewałem się rozwiązania zagadki w najoryginalniejszy nawet sposób. Czasami zdawało mi się, że coś zagraża mojemu życiu, czasami te obawy rozpraszały się nagle. I tak ciągle, raz niezachwiana pewność, że zginę marnie, to znów nadzieja życia.

— Powróćmy jednak do dalszego ciągu opowiadania mojego. Otóż najprawdopodobniej całe to zjawisko, wywołane przez Marca Pollo nie trwa-

ło dłużej nad jedno mgnienie oka, jeszcze bowiem w uszach brzmiał mi śmiech głośny porucznika, gdy zjawisko znikło. A wtedy znów stał przedemną Marco Pollo, z lekkim uśmiechem na ustach i zdjawszy cylinder z głowy, rzekł z pewnym bolesnym, czy też może drwiącym tylko odcieniem, w głosie:

— Dobry wieczór panu, panie poruczniku, mam nadzieję, że pan jest zadowolony ze mnie.

Następnie odwrócił się i wolno gościńcem skierował się do miasta. Nazajutrz wyjechał.

Pierwszą myślą moją, gdy powracałem do koszar, było, że w tym wypadku ukazało mi się widmo, które wywołał Marco Pollo, prawdopodobnie przy pomocy jakiegoś uczucia swojego i sztuk kuglarskich. Zadumany wszedłem na podwórze koszarowe i ku mojemu przerażeniu spostrzegłem, że kadet, ciągle jeszcze przyparty do muru, stoi, jak gdyby był ukrzyżowany. Zapomniano o nim zupełnie, a inni towarzysze we wzburzeniu wielkiem rozmawiali z sobą, sprzeczali się, gestykulowali. Schwyciłem chorążego za rękę, a on natychmiast się przebudził, bynajmniej nie zdziwiony, ale nie umiejący sobie wytłomaczyć, dlaczego tamci kolidzy nasi są tacy wzburzeni. Natychmiast wniósłem się do rozmowy ożywionej wprawdzie, ale bardzo płytkiej o tem, czego przed chwilą byliśmy świadkami. Zapewne wówczas nie mówiłem wcale rozsądniej od innych. Nagle zawołał pułkownik:

— Moi panowie! Stawiam 45 przeciw jednemu, i założę się, że jeszcze doczekam się przyszłej wiosny.

To mówiąc, zwrócił się do jednego ze starszych poruczników, znanego z żyłki karcianej i lubiącego się zakładać. Trudna rada! Wprawdzie widocznem było, że porucznik miałby wielką ochotę się założyć; ale jakoś dziwnie to było zakładać się

o życie lub śmierć własnego pułkownika i dla tego porucznik uśmiechnął się tylko w milczeniu. Najprawdopodobniej pożałował później tego, już bowiem po dwóch tygodniach pułkownik podczas wielkich manewrów w obecności cesarza spadł z konia i zabił się na miejscu. Przy tej sposobności okazało się, że czegoś podobnego prędzej czy później oczekiwali wszyscy.

Ale właśnie ten wypadek sprawił, że od tej pory zacząłem z pewnym niepokojem przypominać sobie ową nocną przepowiednię, o której z dziwnego jakiegoś strachu nie wspominałem dotąd nikomu. Dopiero podczas urlopu, gdy odbywałem podróż do Wiednia, otworzyłem serce swoje kolesi, Fryderykowi Pulantowi. Prawdopodobnie musiał pan słyszeć o nim, pisał bowiem wcale ładne wiersze i umarł bardzo młodo. Z Pulantem razem opracowaliśmy tę rzecz piśmiennie i cały opis znajdzie pan w tej kopercie. Zrobiliśmy to umyślnie dla tego, że Pulant był zdania, iż takie wypadki nie powinny przepadać dla nauki i że trzeba stwierdzić, czy mieści się w tem coś prawdy. Wraz z Pulantem poszedłem do notariusza Artinera, i w jego oczach wsadziliśmy ten opis do koperty. Aż do dnia wczorajszego koperta przechowywana była w archiwum notariusza, teraz zaś nadesłano mi ją na własne moje żądanie.

Muszę się panu przyznać otwarcie, że powaga, z jaką Pulant traktował całą historję, przynębiła mnie z początku trochę, gdy jednak później nie spotkaliśmy się już więcej, i gdy wkrótce potem umarł, wszystko to wydawało mi się zaczęło ogromnie śmieszne. Przedewszystkiem powiedziałem sobie, że przecież los mój zależy zupełnie odemnie i nie na świecie nie mogło by mnie nakłonić do położenia się na marach dnia 9 września 1868 roku o godzinie 10-tej wieczorem, z ciemną, pełną brodą. Lasu i łąki mogę przecież uniknąć, jak

również nie potrzebuję się żenić z kobietą mającą czerwone włosy, oraz nie potrzebuję mieć dzieci. Jedyna rzecz, której może uniknąć bym nie mógł, było by jakieś nieszczęście, jakiś wypadek, np. pojedynek, po którym została by mi blizna na czole.

Rozważywszy to wszystko dobrze, uspokoiłem się zupełnie.

— W rok po owej przepowiedni ożeniłem się z dzisiejszą żoną moją, panną Heimsal, i wkrótce potem, wziąłem dymisję z wojska, ażeby się poświęcić rolnictwu. Oglądałem różne wsie i przy tej sposobności, jakkolwiek wydać się to może bardzo śmieszne, umyślnie tak wybierałem, ażeby nie było takiej okolicy, jaka mi się przedstawiła, podczas owego widma. Miałem już pewne kupno wsi na ukończeniu, gdy żona moja odziedziczyła spadek w postaci pięknego majątku ziemskiego w Karyntji, gdzie wyborne są polowania. Już przy pierwszym oglądaniu tej nowej własności doszedłem do łąki, leżącej w dolinie, przylegającej do lasu i w dziwny sposób przypominającej mi tę miejscowość, której chciałem zawsze unikać. Wystraszyło mnie to trochę. Żonie swojej nic o całej przepowiedni nie mówiłem, jest ona bowiem taka zabobonna, że zastruł bym jej całe życie, aż do dnia dzisiejszego.

Wszystko to wypowiedział Umprecht z uczuciem wielkiej ulgi i z uśmiechem na ustach, poczem ciągnął dalej.

— Nie powiedziawszy nic żonie, postanowiłem na wszelki wypadek wyjechać ze wsi na cały wrzesień 1868 roku.

W roku 1860 urodził mi się syn i już od najpierwszych chwil jego życia ustawicznie dopatrywałem się podobieństwa do owego chłopca, którego widziałem wówczas w nocy przed sobą. Czasami to podobieństwo znikało, czasami znów objawiało się silniej. Dopiero teraz spostrzegłem wyraźnie, że ten chłopiec, który dziś wieczorem bę-

dzie stał nad mojami zwłokami ani na jotę się nie różni od widzianego wówczas we śnie. Córki nie mam, zdarzyło się jednak, że przed trzema laty siostra żony mojej, mieszkająca w Ameryce zmarła i pozostawiła córeczkę. Na prośbę żony pojechałem za morze i przywiozłem to dziecko do naszego domu. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę dziewczynkę, zdawało mi się znów, że ona jest jaknajzupełniej podobna do owej dziewczynki widzianej we śnie. Wobec tego w pierwszej chwili chciałem już dziecko pozostawić u obcych ludzi i w obcym kraju, ale na szczęście odepchnąłem od siebie taką myśl nieszlachetną i przywiozłem je do naszego domu.

I znów uspokoiłem się zupełnie, pomimo, że podobieństwo tych dzieci do dzieci, pokazanych mi przez Marca Pollo, zdawało się coraz większe. Ale przecież mogłem się mylić, pamięć rysów twarzy zaciera się w życiu, a cóż dopiero pamięć takich twarzy, które raz tylko widzieliśmy i to jeszcze we śnie. Zupełnie uspokojony żyłem odtąd dość długo, a nawet zaczynałem zapominać o owym dziwnym wieczorze w nędznej mieścinie galicyjskiej, gdy oto nagle przed dwoma laty otrzymałem coś w rodzaju ostrzeżenia i to wstrząsnęło mną na nowo.

— Musiałem wtedy wyjechać na kilka miesięcy. Na powitanie moje po powrocie wyszła żona, o dziwo! z czerwonymi włosami i taka podobna do kobiety widzianej we śnie owym, że wstrząsnąłem się na całym ciele. Ale w tej chwili opanowałem swoje uczucie strachu i tylko uważałem za stosowne wybuchnąć udanym gniewem. Przez głowę przeleciał mi wtedy pomysł, graniczący z obłędem: „A gdybym teraz rozwiódł się z żoną? wtedy zniknęłoby wszelkie niebezpieczeństwo i drwiłbym sobie z całego przeznaczenia”. Żona moja płakała, prawie zemdlona upadła na ziemię, prosiła o przebaczenie

i tłómaczyła powód takiej przemiany. Oto przed rokiem podczas podróży naszej i bytności w Monachium poszliśmy na wystawę sztuk pięknych i żona moja zauważyła wtedy, że zachwycony byłem portretem kobiety z rudymi włosami. Już wówczas postanowiła przypodobać mi się i wystąpić przy jakiegokolwiek sposobności z takimi samymi włosami. Kazała je przeto sobie ufarbować. Rzecz naturalna, że zakląłem ją na wszystkie świętości, ażeby włosy do dawnego jaknajprędzej przywróciła koloru, a gdy się to stało, zapanował znów spokój zupełny w naszym domu.

— Czyż teraz nie mogłem jak najdowodniej się przekonać, że los swój trzymam w ręku? Czyż wszystko co się dotąd stało nie było zupełnie naturalne? Czyż tysiące ludzi nie posiadają dóbr, żon, dzieci, łąk i lasów?

— Pozostawała jeszcze, aż do zimy ubiegłej jedna rzecz, która mnie nie przestawała ustawicznie niepokoić: Dotąd nie miałem blizny na czole. Nie jestem tchórzem, to muszę o sobie powiedzieć, podczas służby w wojsku pojedynkowałem się dwa razy na bardzo ciężkich warunkach. Trzeci pojedynek również ostry miałem przed ośmiu laty, już po moim ślubie. Gdy jednak w przeszłym roku pewien pan z głupio śmiesznego powodu, że mu się nie dość grzecznie ukloniłem przysłał mi sekundantów, wtedy... wtedy... (tu Umprecht się zarumienił) wołałem go przeprosić. Załatwiliśmy tę sprawę w sposób zupełnie honorowy, wiem jednak o tem, że stanowczo byłbym przyjął pojedynkę i bił się, gdyby nie głupia jakaś obawa, że przeciwnik mój zada mi ranę właśnie w czoło. A wówczas dałbym mojemu przeznaczeniu atut w rękę.

— Jak pan widzi, nawet ubliżenie swojej godności własnej mnie nie uratowało: Blizna jest na czole. Chwila, w której zostałem raniony, była

może jedyną w ciągu tych dziesięciu lat, która sprawiła, że poczułem się bezsilny wobec przeznaczenia. Było to zimą około wieczora. Jechałem wtedy z Klagenfurtu do Villach wraz z trzema osobami, których nie znałem zupełnie. Nagle posłyszałem brzęk szyb w wagonie i uczułem ból na czole, a równocześnie zauważyłem, że coś twardego upadło na podłogę. Chwytam się za czoło i widzę, że ono krwawi się mocno; oglądam się szybko i podnoszę z podłogi kamień z ostrem zakończeniem. Wszyscy ludzie w wagonie porwali się z miejsc, a jeden z nich krzyknął: „Co się stało?” Spostrzeżono u mnie krew i zaczęto robić starania, ażeby ją zatamować. Pomimo bólu spostrzegłem najwyraźniej, że jeden z panów, siedzący w samym rogu, opadł bezwładnie na poduszki.

— Na najbliższej stacji przyniesiono mi wody, lekarz kolejowy założył bandaż, ani trochę jednak nie miałem strachu, ażeby taka rana miała być śmiertelną, co najwyżej pozostanie blizna. Rozmowa pomiędzy pasażerami na ten temat toczyła się długo i zastanawiano się nad tem czy to był jakiś zamach umyślny, czy też głupi, dziecinny figiel. Ow pan, siedzący w rogu milczał i wylupionemi oczyma patrzył przed siebie. Dojechawszy do Villach zacząłem wsiadać, gdy ów pan z rogu się odezwał: „Ten kamień był przeznaczony dla mnie”. Zanim zdążyłem zastanowić się nad tem i odpowiedzieć, mówiący zniknął i nie mogłem się nawet dowiedzieć kto to był. Prawdopodobnie człowiek nieszcześliwy, chorujący na manję przesładowczą, albo też może osobistość, która czuje, że zawiniła i obecnie na każdym kroku przesładowana jest np. przez męża lub brata oszukanej przez niego kobiety. Kto to wie, czy nie uratowałem mu życia, lub też czy on nie odniósł by był właśnie takiej samej blizny?

— Po kilku tygodniach ukazała się jak słońce jasna blizna na czole mojem, taka sama i wtem samym miejscu, jak widziałem wówczas. Czuję teraz coraz wyraźniej, że mam do czynienia z jakąś siłą tajemniczą, która drwi sobie ze mnie wyraźnie, i że walka nasza jest nierówna. Dla tego też odtąd z coraz więcej wzrastającą trwogą oczekiwałem tego dnia, gdy ostatni szczegół przepowiedni miał się ziścić.

— Na wiosnę tego roku otrzymaliśmy zaproszenie wuja do przybycia tutaj. Zdecydowałem się stanowczo nie spełnić życzenia wuja, nie dosyć bowiem, że stanął mi w pamięci pewien obrazek, który mnie źle do tej podróży usposabiał, ale jeszcze zdawało mi się, że właśnie tutaj znajdę owo przekłete miejsce. Żona moja niezrozumiała by jednak nigdy powodu odmowy, więc też w końcu po długich namysłach postanowiłem już w początku lipca wraz z dziećmi wybrać się w drogę, równocześnie jednak postanawiając, że zabawimy tu możliwie krótko, a potem wyruszymy na południe, do Wenecji, Lido i t. p. Zaraz podczas pierwszych dni mojego tu pobytu zgadło się o sztuce pańskiej i wuj zaczął opowiadać o tych małych rolach, przeznaczonych dla dzieci; prosił przytem, ażeby moim dzieciom pozwolił zagrać również. Nie miałem nic przeciw temu. W owym czasie zdawało się, że rolę bohatera odegra jeden z aktorów zawodowych. Po kilku dniach nagle schwycił mnie jakiś strach, i zdawało mi się, że bawiąc tutaj dłużej, rozchoruję się ciężko. Pewnego zatem wieczoru oświadczyłem, że czuję się niezdrow i że nazajutrz wyjadę na krótki czas, ażeby się wykąpać w morzu. Musiałem przyrzec, że na początku września stawię się z powrotem.

— Tymczasem tego samego jeszcze wieczoru nadszedł list od owego aktora zapowiadający, że z nieznanym mi, a zresztą zupełnie obojętnym

powodów, roli swej nie będzie mógł odegrać. Wuj zmartwił się i zgniewał ogromnie, prosił też, ażeby przed odjazdem przeczytał sztukę pańską, a może po przeczytaniu znajdzie kogoś z naszych wspólnych znajomych, któryby dla tej roli był odpowiedni. Wziąłem od wuja rękopism i odczytałem w pokoju swoim.

— A teraz może sobie pan łatwo wyobrazić, co się ze mną działo, gdy dobiegałem do końca i gdy słowo w słowo znalazłem tę samą sytuację, o której mówiła wróżba z przed lat dziesięciu. Przez całą noc nie zmróżyłem oka i nie mogłem doczekać się poranku, ażeby oznajmić wujowi, że podejmę się odegrania tej roli, obawiałem się, że wuj będzie mnie wszelkimi sposobami odwoził od tego. Byłoby to dla mnie okropne, od chwili bowiem przeczytania sztuki pańskiej uczułem się zupełnie bezpieczny, i gdyby mnie teraz ominęła taka znakomita sposobność, grania w teatrze, to znów oddany bym był owej sile tajemniczej, nieznaney i ciągle groźnej. Ale wuj zgodził się natychmiast i od tej pory wszystko szło trybem zwyczajnym. Od kilku tygodni codziennie robimy próby i najmniej piętnaście, albo nawet dwadzieścia razy przechodziłem tę sytuację, w której się znów znajduję dzisiaj wieczorem: leżę wtedy na noszach, młoda hrabianka Saima, zakrywając sobie rękami oblicze, z rozwianymi włosami czerwonymi kłęczy przy mnie, a dzieci stoją obok.

Podczas gdy Umprecht wypowiadał te ostatnie słowa, wzrok mój padł na kopertę opieczętowaną, która ciągle jeszcze leżała na stole, spostrzegł to Umprecht i uśmiechnął się.

— Należy się panu wręczenie tego dowodu— rzekł i złamał pieczęć na kopercie.

Wtedy ukazał mi się zgięty arkusz papieru, który on rozłożył na stole. Na arkuszu tym przede wszystkim był najdokładniej przedstawiony, jak

gdyby przezemnie narysowany plan sytuacyjny sceny końcowej ze sztuki mojej. Tylna strona i kulisy boczne określone były systematycznie i nazwane krótko: „las.“ Kreska na środku planu przedstawiała figurę mężką, nad nią zaś umieszczono napis: „nosze”, przy innych, również szematycznie naszkicowanych figurach, napisano czerwonym atramentem: „pani z czerwonymi włosami”, „chłopiec”, „dziewczę”, „człowiek niosący pochodnię”, „człowiek z podniesionymi rękami.“

Zwróciłem się teraz do Umprechta:

— Co to ma znaczyć: „człowiek z podniesionymi do góry rękami”?

— O tem — odparł trochę wahająco—byłbym prawie zapomniał.

Co do tej figury, to rzecz tak się miała: Na owem widmie był także człowiek zupełnie łysy, gładko wygolony, w okularach, w szalu ciemnozielonym na szyi. Człowieka tego pono oświetlały pochodnie, on zaś miał ręce wzniesione do góry i oczy szeroko rozwarte.

Teraz na mnie przyszła kolej zdumieć się ogromnie. Milczeliśmy obaj długą chwilę, potem zaś zapytałem z dziwnym zaniepokojeniem:

— Jak pan przypuszcza właściwie, kto to ma być?

— Przypuszczam—odparł Umprecht zupełnie spokojnie—że ktoś z widzów, a może ze służby wuja, albo wreszcie chłop jakiś ze wzruszenia przy końcu sztuki wpadnie na scenę. A może los będzie tak chciał, że jakiś człowiek obłąkany, który uciekł z domu warjatów przez dziwny zbieg okoliczności, który by mnie jednak wcale nie zdumiał, po tylu wypadkach, właśnie w tej chwili, gdy leżeć będę na noszach, zjawi się w pobliżu sceny.

Zaprzeciłem ruchem głowy:

— Co pan mówi? Ten człowiek łysy zupełnie... nosił okulary... na szyi miał szal zielony?...

Otóż powiem panu, że teraz dopiero ta rzecz wydaje mi się jeszcze dziwniejszą, niż poprzednio. Taką figurę, jaka się panu wówczas ukazała, chciałem rzeczywiście wprowadzić do mojej sztuki, ale później zaniechałem tej myśli. Miał to być obłąkany ojciec, o którym jest mowa w pierwszym akcie, i który przy końcu sztuki miał wpaść na scenę.

— Ale szal... okulary?... — zapytał Umprecht.

— To już prawdopodobnie byłaby inwencja aktora.

— Bardzo możliwe.

Rozmowę przzerwano nam, pani Umprecht bowiem przysłała służącego po męża, pragnąc z nim jeszcze pomówić przed przedstawieniem. Pożegnał się i poszedł, ja zaś wziąłem raz jeszcze ów plan sytuacyjny do ręki i przyglądałem mu się bardzo uważnie.

III.

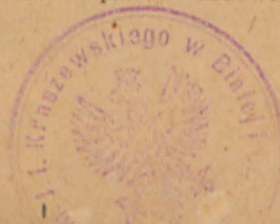
Musiałem pójść do owego miejsca, gdzie miało się odbyć przedstawienie. Miejsce to znajdowało się poza zameczkiem i odgródzone było bardzo ładnym ogródkiem. Pierwsze rzędy, przeznaczone dla widzów, pokryto ciemno-czerwoną materją dywanową, dziesięć zaś rzędów utworzono ze zwyczajnych ław drewnianych. Na scenie stały tylko krzeselka, stoły, ale kurtyny nie było wcale. Przedział pomiędzy sceną a widownią wskazywały dwie wielkie topole; na prawo rozciągały się dzikie zarośla, w których ustawiono fotel wygodny, niewidoczny zupełnie dla otoczenia, a przeznaczony dla suflera; po lewej stronie plac był zupełnie otwarty i ztąd rozścielał się widok na całą dolinę. Tylną stronę sceny stanowiły drzewa wysokie, które jednak stały tylko w środku, a po boku ciągnęły się wązkie ścieżyny, biegnące do lasu.

W głębi tego lasu utworzono sztuczny punkt, gdzie ustawione były stoły i krzesła i gdzie aktorzy czekali, wysłuchując pilnie, gdy dla nich nadejdzie pora wejścia na scenę.

O oświetleniu sceny pomyślano w ten sposób, że po boku ustawiono wysokie lichtarze, podobne do tych, jakie widzujemy w kościołach, a w lichtarzach zatknięte były świece kolosalnych rozmiarów. Po stronie prawej w zaroślach, znajdowało się także miejsce dla garderoby i wszelkiego rodzaju przyrządów. Tutaj, obok wielu innych przedmiotów, zobaczyłem też owe nosze, na których Umprecht umrzeć ma przy końcu sztuki.

Łąkę zalewały łagodnie wieczorne blaski słoneczne, szedłem zaś, rozmyślając o tem, co mi Umprecht opowiedział. Z początku przypuszczałem, że może ten Umprecht należy do kategorii znanej kłamców o bujnej fantazji, którzy nie żałują trudów, ażeby wydać się ludziom zajmującymi. Była nawet chwila, że przypuszczałem, iż podpis znanego mi notariusza jest sfałszowany, a Umprecht, wtajemniczywszy innych ludzi, rzecz całą starał się najbardziej konsekwentnie przeprowadzić. Szczególne jednak wątpliwości miałem co do owego, dotąd mi jeszcze nieznanego człowieka z podniesionemi do góry rękami. Tu już zdawało mi się, że Umprecht umówił się z kimś, ażeby mnie do reszty zmistyfikować.

Wszystkim tym wątpliwościom przeczyła jednak sama rola pierwszorzędną, którą Umprecht w sztuce mojej miał odegrać, a która przedtem nikomu nie była znana. Oprócz tego młody ten człowiek, bardzo korzystnie na mnie zrobił wrażenie. Wszystko to wydawało mi się bajecznie nieprawdopodobnem, ale pomimo to, jakiś głos wewnętrzny mówił: „Nie masz prawa nie wierzyć temu człowiekowi”.



W około mnie zrobił się ruch, służba nadciągała z zamku, zapalano świece, sąsiedzi z okolicy, niektórzy w ubraniach wieśniaczych, zwolna wkraczali na pagórek i skromnie stawali obok ławek. Wkrótce nadeszła pani baronowa z kilku panami i paniami i swobodnie zajęli miejsca w pierwszych rzędach. Usiadłem przy nich i gawędziliśmy jak zwykle.

Przyszli także członkowie orkiestry i usiedli przy pulpitych; a była to orkiestra zupełnie dostateczna: dwoje skrzypiec, wiolonczela, kontrabas, flet i obój. Rozpoczęli odrazu, chociaż najwidoczniej zawczasie, uwerturę Webera.

W najbliższym sąsiedztwie orkiestry stanął sobie jakiś stary chłop, zupełnie łysy i z chustką owiniętą na szyi. Może to on? — pomyślałem sobie — może on właśnie przeznaczony jest przez los do włożenia następnie okularów na oczy, zwarzjowania nagłego i wpadnięcia na scenę.

Zmrok zapadł już zupełny i zerwał się mały wietrzyk, sprawiający, że światło świec zaczęło migotać. W zaroślach rozpoczął się gwar, ukrytymi ścieżynami bowiem nadciągali artyści i znajdowali się już w pobliżu sceny. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że właściwie dotąd niewidziałem jeszcze nikogo z grających w sztuce, oprócz Umprechta, jego dzieci i córki leśniczego. Do uszu moich doszedł głos reżysera i śmiech młodej hrabianki Saimy.

Orkiestra zaczęła znów grać i na scenie ukazała się córka leśniczego, wypowiadająca prolog, który poprzedzał sztukę. Treść całości stanowiły losy człowieka, który, poczuwszy w sobie żądze przygód i dalekich podróży, opuszcza dom bez pożegnania. W ciągu jednego dnia tyłu doznał przykrości, że zamierza znów powrócić, zanim żona i dzieci spostrzegą jego nieobecność. Dochodził już do bramy domu, ale i tutaj spotkała go przy-

godą, której następstwem była śmierć z obcej ręki. Już umierając powitał znów swoich najbliższych, którzy nie mogą rozwiązać zagadki, dlaczego uciekał i dlaczego zmarł.

Rozpoczęło się przedstawienie; wszyscy panowie i panie zupełnie przyzwoicie wypowiadali swoje role. Cieszyła mnie ta prostota w wykonaniu i z początku nie myślałem nawet o tem, co mi przed kilku godzinami opowiadał Umprecht.

Po pierwszym akcie zagrała znów orkiestra, ale nikt na nią nie zwracał uwagi i ożywione rozmowy zagłuszały dźwięki skrzypiec, fletu, kontrbasu i t. p. Podczas przedstawienia tak się ułokowałem, że stanąłem sobie na uboczu, przez nikogo nie widziany, w bliskości sceny, po lewej stronie, gdzie droga prowadziła ku dolinie.

Zaczął się akt drugi. Wiatr wzmógł się nieco, ale to było dobrze nawet, gdyż migocące światło świec dopomagało jeszcze do wywołania większych efektów w sztuce.

I znów minął ten akt, aktorzy zniknęli w głębi lasu, a muzykanci usiedli przy swoich pulpitych. Wtedy znów, zupełnie przypadkowo, padł mój wzrok na owego flecistę, który nosił okulary i był gładko ogolony. Ten człowiek miał jednak długie włosy białe i szala na szyi nie mogłem dojrzeć.

Orkiestra przestała grać i znów rozpoczął się dalszy ciąg sztuki. W tej chwili zauważyłem, że flecista instrument swój położył na pulpicie i z kieszeni wyciągnął duży szal zielony, poczem owinał go sobie około szyi. Zdumiało mnie to w najwyższym stopniu, ale w tej samej niemal sekundzie na scenę wszedł Umprecht i spostrzegłem, że jego wzrok padł również na owego flecistę w zielonym szalu. Była to chwila, że Umprecht widocznie stracił werwę i zaciął się w grze, ale natychmiast zapanował nad sobą i rolę swoją recytował dalej bez zarzutu.

Stojącego obok mnie skromnie ubranego chłopca zapytałem, czy zna flecistę. Odpowiedział mi na to, że to jest nauczyciel wiejski z wioski Kaltern.

Sztuka dobiegała do końca: Dzieci błdziły po scenie, tak, jak nakazywała instrukcja, w lesie wszczął się gwar i okrzyki dochodziły coraz głośniej, słychać było zewsząd hałasy. Wrażenie było nienajgorsze, tem więcej, że wiatr się wzmagał i wszystkie liście drżały na drzewach. Nareszcie na noszach wniesiono na scenę Umprechta jako konającego człowieka, żadnego przygód niezwykłych. Dzieci pobiegły ku tym noszom, a ludzie, niosący pochodnie, stanęli bez ruchu po boku. Żona umierającego weszła później i z błędnymi ze strachu oczyma padła u jego stóp. Bohater sztuki chce jeszcze coś przemówić, chce jeszcze się podnieść, ale to—tak nakazywała rola najwyraźniej—nie udaje mu się już więcej.

Nagle zadął wiatr taki silny, że groził zagazowaniem wszystkich lamp, i w tej chwili spostrzegłem, że z orkiestry wyskoczył ktoś, a był to flecista, ku ogromnemu przerażeniu mojemu zupełnie łysy, perukę bowiem wiatr mu zrzucił z głowy. Ten flecista wbiegł na scenę z podniesionymi do góry rękami, a wiatr rozwiewał końce jego szala zielonego.

Skierowałem teraz oczy na Umprechta i spostrzegłem, że wzrok jego stał się nagle błędny. Zadrżał na widok tego człowieka, chciał coś mówić, ale nie mógł widocznie słów ze siebie wydobyć i opadł na nosze.

Jeszcze teraz wielu widzów sądziło, że tak być powinno, że tak napisano w sztuce. Ja jednak nie wiedziałem, co to nowe opadnięcie głowy ma oznaczać. A tymczasem flecista przebiegł przez scenę bez peruki i zniknął w lesie.

Umprecht nie podnosił się wcale. Nowy wiatr

zawiał i zgasił dwie pochodnie. Niektórzy ludzie w pobliżu sceny zaczęli być niespokojni. W tej chwili usłyszałem głos barona: „Proszę o ciszę, proszę o spokój!”

I rzeczywiście nastąpiła cisza zupełna, nawet wiatr nieporuszał już liśćmi... ale... Umprecht leżał ciągle wyciągnięty na noszach i nie poruszał nawet wargami. Hrabianka Saima wydała okrzyk zgrozy, lecz widzowie myśleli, że to także należy do sztuki.

Nie mogłem wytrzymać, przecisnąłem się przez tłum ludzi, wpadłem na scenę. W około mnie ludzie coraz więcej zaczynają być niespokojni. Wielu podnosi się z ław, wielu bieży za mną na scenę, i zwartem kołem otoczyliśmy nosze: „Co to jest? Co się stało?”

Wyrywam pochodnię z rąk służącego i oświetlam oblicze leżącego na noszach... Zaczynam potrząsać Umprechtem, rozrywam mu ubranie, a tymczasem nadbiegł lekarz, schwycił za puls, przyłożył ucho do serca, a następnie wyraził życzenie ażeby wszyscy ustąpili na stronę. Potem szepnął kilka słów do barona... Żona leżącego na marach również wpadła na scenę, krzyknęła głośno, rzuciła się na męża, a dzieci jak gdyby przykute stanęły obok, nie mogąc zrozumieć co się stało. I nikt nie mógł zrozumieć co się stało, chociaż jeden drugiemu opowiadał coś tajemniczo. Po kilku minutach wiadano, że Umprecht na tych samych marach, na których go wniesiono, umarł nagle.

Uciekłem od tego widoku daleko w dolinę, taka mnie bowiem przejęła zgroza, i taki strach opanował, że nie miałem już odwagi wejść do zamku.

Dopiero na drugi dzień spotkałem się z baronem w Bozen i tam opowiedziałem mu całą historję tak, jak mi ją sam Umprecht przedstawił. Baron niechciał uwierzyć, więc wówczas sięgnąłem

do pugilaresu i wydobylem ów tajemniczy akt re-
jentalny. Baron spojrzal na mnie zdziwiony i wrę-
czył mi papier z powrotem, na tym papierze bo-
wiem nie było już nic. Arkusz był gładki, czysty,
ani śladu atramentu, ani śladu jakiegoś rysunku.

Robiłem odtąd wszelkie starania, ażeby od-
naleźć owego Marco Pollo. Te starania nie dały
żadnego rezultatu i tylko dowiedziałem się, że Mar-
co Pollo, poraz ostatni przed trzema laty wystąpił
w jakimś ogródku hamburskim podrzędniejszego
gatunku.

Wszystko to są rzeczy niepojęte, ale najbar-
dziej niepojęty pozostaje fakt, że ów nauczyciel
wiejski z Kaltern pogonił z podniesionymi do góry
rękami za swoją perukę i zniknął w lesie. Nawet
trupa jego nie odnaleziono.

PRZYPISEK.

Autora tego opowiadania nie znałem osobiś-
cie. Był to w swoim czasie dosyć znany pisarz,
który umarł nie dobiegłszy 60-go roku życia przed
dziesięciu laty. Nazwisko jego zginęło w fali nie-
pamięci. Cała jego spuścizna przeszła na przyja-
ciela młodości z Merano. Od tego przyjaciela, le-
karza, z którym podczas pobytu mojego w Mera-
nie w zimie ubiegłej często rozmawiałem o różnych
ciemnych zagadnieniach, a szczególnie o przepo-
wiedniach, duchach i t. p., rękopisy przeszły w mo-
je ręce w celu ich opublikowania. Bardzo chętnie
treść tego opowiadania chciałbym poczytać za wy-
myśl rozbujalej fantazji, ze względu jednak na le-
karza, który był obecny na przedstawieniu i który
znał owego nauczyciela z Kaltern, nie mogę tego
uczynić.

K O N I E C .



475

